NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM V NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 2

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
KSAWERY PRUSZYŃSKI
KAROL ESTREICHER
ZOFIA NAŁKOWSKA
ANTONI SŁONIMSKI
STEFAN THEMERSON
BORYS PASTIERNAK
MIECZYSŁAW LISIEWICZ
IRENA KRZYWICKA
STANISŁAW PIOTROWSKI
TADEUSZ RÓŻYC

LONDYN
LISTOPAD
1945

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM V | NEW POLAND MONTHLY | ZESZYT 2

LONDYN | LISTOPAD | 1945

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

„BALLADY I ROMANSE"

„Słuchaj dzieweczko!... Ona nie słucha.
To dzień biały, to miasteczko..."
Niema miasteczka. Niema żywego ducha.
Po gruzach biega naga, ruda Rywka.
Trzynastoletnie dziecko.

Przejeżdżali grubi Niemcy w grubym tanku
(Uciekaj, uciekaj, Rywka!)
„Mama pod gruzami, tata w Majdanku".
Roześmiała się, zakręciła się, znikła.

I przejeżdżał znajomy, dobry łyk z Lubartowa:
„Masz, Rywka, bułkę, żebyś była zdrowa".
Wzięła, ugryzła, zaświeciła zębami:
„Ja zaniosę tacie i mamie".

Przejeżdżał chłop, rzucił grosik,
Przejeżdżała baba, też dała cosik,
Przejeżdżało dużo, dużo luda,
Każdy dziwił się, że goła i ruda:

I przejeżdżał bolejący Pan Jezus,
SS-mani Go wiedli na męki,
Postawili ich oboje pod miedzą,
Potem wzięli karabiny do ręki:

„Słuchaj, Jezu, słuchaj Rywka, sie Juden:
Za koronę cierniową, za te włosy rude,
Za to, żeście nadzy, za to, żeśmy winni,
Obojeście umrzeć powinni.

I ozwało się Alleluja w Galilei,
I oboje anieleli po kolei,
Potem salwa ozwała się głucha...
„Słuchaj, dzieweczko!... Ona nie słucha..."

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

WENECJA

I.

Nie wiem, czemu zawdzięczać że jeszcze na chwilę
Zakwitł hjacynt niebieski pod szarym obłokiem
I że nad żółtych liści ognistym potokiem
Wzniosły się okwiecone migdałów badyle.

Raz jeszcze frunął motyl — czerwony na szarem —
Jak płomyk, co ostatniem darzy mnie spojrzeniem.
I taki dzień jesienny stopiony wspomnieniem
Z wiosną, staje się jakimś osobliwym darem.

Ty to wiesz! I dlatego twoich jasnych oczu
Taki uśmiech serdeczny i tak pełny żalu
Idzie ku mnie, gdy w ciemnym otulony szalu
Siedzę w otwartem oknie, zanim pisać pocznę.

Nasłuchujemy w ciszy, czy pośród gałęzi
Zszarzałych drzew nie zabrzmi odgłos ptasich dreszczów:
I motyl i migdały i hjacynt na deszczu
Zmieniają się w noc szarą co nam serce więzi.

II.

Obejmij mnie i patrzmy w czarną otchłań czasu,
W niebo takie niziutkie i pełne rozpaczy
W czarne pasma podłużne dalekiego lasu
I słuchajmy jak wiatry po nad nami płaczą.

III.

W tem mieście czarno zielonawem
Pełnem różowych kościotrupów
Dzwony wzlatują hymnem łzawym
Jak ptaki nad stosami łupów.

Nikt nie wszedł dziś na plac marmuru.
Pałace, kolumnady, domy
I wśród gołębi czarnych chóru
Ta sama błąka się Salome.
I w bizantyjskich półspiętrzeniach
Sieci złotego śni przędziwa,
W chichicie dożów, w dzwonów pieniach
Kościstą ręką śmierci kiwa.

IV.

Tu, na malachit tych rozwalin
Spadali zewsząd bladolicy
Poeci, władcy białych krain,
Z pąkami w ustach tajemnicy.

Tutaj Krasiński nieprzytomny
Joannę stroił w amaranty
I tu na piersi swej ogromnej
Utulał jego żal Konstanty.
Tu Wagner ujrzał śmierć jak Kundry
Z płomieniem purpurowych ust,
I zagapiony ale mądry
Siedział w kawiarni czarny Proust.

I z kraju, który się nam ukrył
Za sinych lasów wonny stok,
Zielonooki, z krwi i z cukru
Przyjeżdżał Aleksander Błok.

A dziś w zamarłych wód laguny
Wypływa pusta czarna łódź
I nikt nie widzi czarnej luny
I nikt nie woła zbudź się, zbudź!

I miasto które niegdyś czarą
Szmaragdów było — święty Gral,
Roztapia się w woskowe gwary
Wtopione w pospolitą stal.

Wśród dzwonów które kościół grzebią
Tak obojętne choć podniebne,
Nie widzę nic — i nawet ciebie —
Miasto umarłe niepotrzebnie.

VI.

Tam kiedyś, gdy już nas wypędzi
Dumny filozof z politei,
Siądziemy razem na krawędzi,
Pełni miłości i nadziei.

Zadzwonią dzwony katedralne
Wzbiją się wieże jak fontanny
I cały przepych orjentalny
Rozwieje prosty wiatr poranny.

I my na skrzydłach tej ofiary
Wzbijemy się gdzie radość gości,
I gdzie nie trzeba już cnót: wiary
Ani nadziei ni miłości.



KSAWERY PRUSZYŃSKI

DIARIUSZ KOŃCZĄCEJ SIĘ WOJNY

I. SZKOCKI KWIECIEŃ; OSTATNI

Zaczynam pisać mego „Staszica" („to będzie taki drugi, ‚Margrabia Wielopolski' — szepczą po Londynie wrogowie — podobno *jeszcze* gorszy"), właśnie wtedy kiedy kończy mi się długi poszpitalny urlop, a także wtedy kiedy rosyjska nawała ze wschodu, a amerykańskie pchnięcia z Zachodu, rozwalają, szmat po szmacie, bryłę niemiecką. Koniec urlopu wydaje się zgrywać z końcem wojny. Ale nie zgrywa się całkowicie. Trzeba prosić o nowy urlop. I głupio i bezcelowo i jakby śmiesznie tak jechać na sam koniec, na zgaszenie świec, prawda? Ale nie, okazuje się, że wojna „wcale się nie kończy" i urlopu nie będzie. Może być tylko wybór przydziału. Tedy lepiej wracać do starej Pierwszej Dywizji Pancernej, a z nią do Niemiec, niż iść do tej nowotworzonej — od dość już dawna — do Szkocji. Lepiej, bo już jest dosyć Szkocji, lepiej, bo w tej nowej dywizji będzie się nowym człowiekiem, a tam zna się już wielu, bardzo wielu i ma się nawet wielu przyjaciół, — pozory, jak wiadomo, mylą. Poza tym jest kontynent, Niemcy, nowe rzeczy, a jeszcze poza tym — jest *bliżej*. Ale nawet do Pierwszej Dywizji droga nawraca raz jeden jeszcze na Szkocję, bo tam jest obóz przejściowy, i potem czeka się jeszcze długie szkockie dni w takim miasteczku niewielkim, szaro kamiennym, nudnym, gdzie wiosna przychodzi późno, blada jak ten pokój który jednak nadchodzi. Transport odchodzi, ma odejść, nie odchodzi, odejdzie — oto biuletyny codzienne w oficerskiej messie. Od morza które jest szare i jeszcze nudniejsze dmie wiatr z deszczem i piaskiem, i wiatr ten nocą mi tłucze w luźnie osadzone angielskie okna niewielkich szkockich domków. Jest taka sama szkocka wiosna jak była temu rok, w 1944, i temu dwa lata, i jeszcze przedtem, i jeszcze, a nad Montrose sinieją falami dalekie góry Highlandu, zupełnie takie jak w smutnym lermontowskim wierszu. Ale siedząc wieczorami na biletingu wie się, że jest to już Szkocja ostatnia. Tym właśnie różna od wszystkich innych szkockich jesieni czy wiosen, że teraz to się już kończy. Na złe, czy na dobre, nie wiem. Może nawet na najgorsze. Ale się kończy. I przez te dni czekania na transport patrzy się człowiek w twarz tej Szkocji jak w twarz kogoś kogo oglądał długo, bardzo długo, i nawet się nim nudził, a teraz wie, że już go żegna, i na zawsze. Trzeba raz jeszcze popatrzeć w te dobrze znane oczy. Zapamiętać. Po głowie chodzi wiersz Antoniego,

> Zatęsknicie jeszcze, zatęsknicie
> Do Oxfordu, Bedfordu, Londynu
> Z ciężkim sercem daleką wspomnicie
> Rzekę w Perth i las Aberdeenu...

kiedy żegnam, naprawdę żegnam, widziane z okien autobusu czy wagonu, wszelkie Cupary, Forfary, Angusy, Andrewsy, New porty i Dundee, i ileż ich tam jest jeszcze...! Za tamtym lasem stali Podhalanie... Tu, nad morzem, były te placówki... Tu odwiedzałem Karola gdy wypuścili go z paki w której siedział (o demokracjo!) za artykuł. Tu była kantyna dobrej Church of Scotland... W tym domu mieszkała la signora madre... tu baba-gracz... tu siostry Cameroun... tu defiladę przyjmował (jak to straszliwie dawno, jak to historycznie dawno) w deszczowy dzień Sikorski. Tak. Pożegnanie Szkocji.

Czasami można by pomyslec, że nic się nie zmieniło od tamtych lat. Tak samo wieczorem o godzinie 7.21 — 7.21 p.m. — na stacji w Forfar staje pociąg idący do Edynburga, zdążający na taki który nocą idzie do Londynu, na Kings Cross. Wszystko co się działo na świecie, i wojna,

i pokój, nie zmieniły o minutę nawet rozkładu kolejowego. L.N.E.R... Stacja w Forfar jest absolutnie taka sama jak wtedy, i nawet stok nasypu po drugiej stronie zazielenił się absolutnie tak samo, i pewno kasjerka jest ta sama, i uśmiecha się tak samo odsłaniając zęby które zresztą nie mogły się postarzeć, bo od wieki wieków były sztuczne. Gdyby jeszcze choć Polaków tu nie było! Ale są, są Polacy! Jest ich pełno. To przecież ta nowa fala Polaków, ci z czwartej dywizji, wyłuskani z armii niemieckiej, z niewoli, z batalionów pracy, z organizacji Todta, ćwiczący w Forfar i Cupar jak my, nie; jeszcze bardziej niż my, paradny krok i salutowanie w miejscu. I tylko przyjrzawszy się widać, że są to już inni od nas. Są przede wszystkim dużo, dużo młodsi. O pokolenie całe. Są zupełnie młodziuścy. Chodzą głośno, z tym wigorem, trzaskiem, hałasem, pewnością siebie jakiej brakło nam, w latach tamtych, są roześmiani i rozkrzyczani i rozśpiewani, są stadni, gromadni, są „prawdziwym wojskiem", jak to się mówiło w GISZu i powtarza w Rubensie.

To naprawdę nowa — i inna — fala polska jaka spłynęła na szkocki brzeg. Chodzą po tych samych co my ulicach i ścieżkach i meadows, ich kompania trzecia kwateruje tam gdzie stała nasza czwarta, ich szwadron sztabowy jest tam gdzie stały nasze oer, ich kasyno oficerskie jest tam gdzie było nasze kasyno oficerskie, a kantyny, latryny i pierdel nie zmieniły swych funkcyj. Otacza ich ta sama Szkocja, ale oni inaczej ją widzą niżeśmy ją widzieli i ona widzi ich inaczej niż widziała nas. „They are not *our* boys" stwierdza bileter w niebieskim autobusie, i potem ktoś inny to samo powatarza, bo Szkocja ma takie powiedzenia ceremoniałowe, chóralne, jak owo zapytanie uświęcone zwyczajem czy lubi się Szkocję. Tych młodych ludzi widzi się z dziewczynami szkockimi, ale mało, rzadko, czy wcale, w domach szkockich, gdzieśmy my tyle wieczorów przegwarzyli ze starą Mrs. Smith, z emerytowanym captain Carnoustie czy kwakrzycą Miss Purshley. Pewnoby się nudzili: my nie nudziliśmy się. Po naszych pobytach w tych domach rozsiały się wszędzie jakieś nici sentymentów, wspomnień, zahaczeń, po szufladach utkwiły jakieś listy pisane zrazu złą (a i pod koniec nie wiele lepszą) angielszczyzną, a wśród rodzinnych fotografii wszystkich kuzynów i kuzynek rozrodzonego rodu Fitzgerald czy Wrenn zdobyły prawo obywatelstwa fotografie, na których odnajdujemy znajome nam twarze. Tak, to Ksanek Konarski: zginął gdzieś w Egipcie. Tak, poznaję, oczywiście, to Janek: poszedł do cichociemnych, zrzucono go nad Polską. No i ten, no jasne, Kazik spalił się w czołgu pod Trun, aha, i Ludwik, jest w Drugim Korpusie, a to Jerzy... pochowali go już w Holandii, nad tym kanałem co to wtedy tak dostali dragoni. Fotografie zostały. Przetrwały pakty, uściski rąk premierów, fotografie w prasie, przetrwały nawet tych ludzi w angielskim battledressie z polskim orzełkiem, przetrwają ciężkie, trudne dni które tu teraz idą, i tkwią w Szkocji jak tkwiła w niej kiedyś stara, piękna i bezsilna wierność dla dalekich wygnanych Stuartów. Po tych co po nas przyszli mało zostanie tego. Czemu? Ach, może właśnie dlatego bo oni są tacy pewni, tacy wyżsi, tacy przeświadczeni, tak się od obcych nie chcieli uczyć, poza tymi innymi rzecz jasna, od których jednak wzięli znacznie więcej, niestety, niż im się to wydaje. Nie tylko piękną piosenkę Lili Marlene i nie tylko paradny krok.

Potem w jeden z takich wieczorów trzeba wyjechać — i raz jeden jeszcze jest transport, i noc, i cała Anglia, i wreszcie — ten sam park, namioty i obóz przeładunkowy przez który przeszło się rok temu w przededniu Normandii. Tylko wtedy było pełno młodych oficerów jadących na kontynent, teraz defiluje wspaniała, starannie odkurzona, otrzepana ledwo co z naftaliny galeria starszych gentlemenów w oficerskich mundurach, ciągnąca za sobą nieprawdopodobne sterty tego wszystkiego co Anglicy wynaleźli w ciągu dziejów dla użytku ludzi wygodnych, podróżujących do Egiptu, Alaski, Mezopotamii, Bahamów, Kilimandżaro, Ciechocinka,

Samarkandy i Myślenic. Potem jest już nic. Przerzut. Po prostu przerzut. Obóz jeden, obóz drugi. Transport kołowy, statek, transport kołowy, statek. Najstateczniejszy człowiek dostałby z tej statkowości i kołowości kołowacizny. Jest to jakby gra w której wciąż ktoś z towarzystwa odchodzi, ktoś nowy wstpęuje, i gra tak trwa dalej. Moja trwała przez kilka długich dni. Rozszerzonych na noce. Może to być jeszcze Anglią, już Belgia, nawet Holandia czy Niemcy, może to się nazywać Willebroek, albo Goch, albo być wagonem, może odbywać się to przy stole, albo w namiotach, może być przy tym whisky, czy szampan, czy koniak, czy wszystko razem. Ale jest to wszystko na drodze *ku* dywizji, dywizji coraz dalszej, coraz głębiej wpychającej się w Niemcy. W międzyczasie spada na świat pokój, zawieszenie broni, wszystko właściwie nie dziwiące nikogo, nie cieszące zbyt wielu, otwierające tylko grubą zasłonę za którą jest schmurzony, niejasny Świat Powojenny. Wśród tego ludzie, wciąż zmieniający się, mówią, mówią, mówią.

Doświadczenie dziennikarskie uczy, że w polskim emigracyjnym światku jest zdumiewająca ilość ludzi święcie przekonanych o tym, że dziennikarz tylko marzy o tym aby jego Jasia Kowalskiego czy Jasia Nowaka sportretować, skarykaturować, obezdrać, uwiecznić, jak to kto woli nazwać, że ów dziennikarz tylko czyha, skrada się, nadsłuchuje (jak Wróg ze znanych plakatów) aby podchwycić jego cenne gesty, czyny i słowa. Są potem ponure cymbały które drą się o swej „obrazie" — a w ciszy swej domorosłej łepetyny cieszą się tym niezdrową, onanistyczną radością. Poza tym są i ludzie rozumni którzy rozumieją, że nie wszystko co się pisze musi być reportażem, to jest fotografią, lecz może być także obrazem, to znaczy zawierać pewne elementy prawdziwe, ale zmienione, naświetlone odmiennie, przycienione, zretuszowane. (Zretuszowane: otóż to: nawet fotografia współczesna operuje retuszem: malarz, zgodnie ze swa wizją, może robić twarze kwadratowe, cynobrowe, zielone). Są tacy ludzie rozumni którzy to rozumieją ale co z tego kiedy im życie pospieszą zaraz zatruwać żłoby. (..A, to pana osmarowano... Czy czytał pan? Coś podobnego? Tak, to o panu, o panu... Hoho... Jabym na pana miejscu".... Ale ponieważ nie jest na jego miejscu więc na swoim miejscu postawi mi czym prędzej double'a.) Otóż dla uniknięcia nieporozumień muszę wyjaśnić imieniem bardzo licznego grona piszących, że imienny pan Jasio Kowalski jest wbrew swemu mniemaniu ogromnie mało ciekawy. To znaczy jest ogromnie mało ciekawy jako konkretny, autentyczny typ który amci w Służbie Pieniężnej, dowodzi plutonem w Dragonach, został adiutantem w czerwcu czy mieszkał w Brukseli w hotelu „Atlanta" razem z Dziuniem. Nikt z nas piszących nie dybie na niego, ani nie czyha, nie znęca się nad takim bezbronnym bidulą (w randze najmniej pełnego pułkownika). Nie, nie. Nas, piszących obchodzą typy, specymeny. Obchodzą nas li tylko jako okazy, jako produkty, produkty pewnych nasion zawleczonych aż z Polski — zwykle tej gorszej — a wyhodowanych, czy raczej dochowanych, w klimacie sześciolatki emigranckiej. Obchodzą nas, piszących, tak jak lekarza obchodzi ślicznie rozwinięty rak wątroby pana ministra, jak lekarza obchodzi interesująco skomplikowana delegliwość kobieca pani hrabiny. (Nie dlatego że minister: dlatego że rak: nie dlatego że pani hrabina: dlatego że tak skomplikowana dolegliwość. Voilà!) To powiedziałem na wszystkie czasy. Jeśli później ktoś znalazłszy w mych pisaninach udatny konterfekt szui czy durnia będzie wrzeszczał na całe Cupar: to *mnie* znieważają?!, niech sobie sam, biduś, wszelką szkodę przypisze. (Najlepiej niech nie czyta. I bez tego zrobi karierę w Polsce.)

Otoż pobyt w jednym i tym samym oddziele naszego wojska nie daje jeszcze żadnego obrazu całości: natomiast taki przejazd, Szkocja — Wilhelmshaven, poprzerywany postojami, zmianami obsad, obozami, daje go

w o wiele wyższym stopniu. Kolejno wysłuchuje się wypowiedzi i zwierzenia kapitana z Zaopatrzenia, porucznika ze Służby Pieniężnej, plutonowego z Materiałówki, kierowcy z Ochrony Sztabu, nie mówiąc już o Dragonach, Podhalanach, Krwawych Koszulach, Zielonych Szelkach, Pelotach, Pepancach, Zwancygierach, Duszpasterstwie, b. szkockich lwiętach — (czy wszystko to, swoją drogą, nie przypomina nieco niektórymi nazwami piękne indianskie eposy z Karola Maya?) Ma się *przekrój*. I oto rzecz dziwna. Każdy z nich teraz w tej drodze do Niemiec nieproszony, słabo dziękowany, po tych pięciu latach szkockich, stara się zapewnić jak bardzo on się *zmienił*, jak wielu rzeczy się *nauczył*, jak bardzo mu to *dało*, jak jest *inny*... Każdy z tym wychodzi, każdy tym częstuje, i częstuje z takim naciskiem, że mimowiednie nie wywołuje zaufania. — Taak? No a czegoż się pan nauczył, w czymże pan się zmienił, czym pan to uzasadnia że panu ten pobyt obcy tak wiele dał, że pan z niego tyle wyciągnął, że pan jest tak bardzo inny, jak wtedy kiedy pan tu przychodził? Proszę, panie poruczniku? Porucznik się czerwieni, zacina, jego ręka ściska silniej kieliszek z ginem, — i powtarza to samo, co jużem słyszał przedtem, że tak, że się nauczył, że ogromnie wiele, że zupełnie inaczej — a ja kiwam głową nad tym co dalej się jakoś nie konkretyzuje, i pytam: pan kiedyś był antysemitą, prawda? No a teraz, czy pan nim być przestał? Pan lekceważył demokrację, partie polityczne, ten cały stary sztafaż, a teraz czyżby pan się do tego wszystkiego przekonał? Tak? Istotnie? Porucznik milczy i potem mówi, że nauczył się opanowania, powściągliwości, pewnego sposobu mówienia w sposób prosty o rzeczach wielkich, że nauczył się po angielsku... Wierzę, panie poruczniku. A co pan *czytał* po angielsku? Nie może pan sobie przypomnieć? Nic? Tak trudno? Ach to i to i to? Żadnego tytułu Shawa nie umie pan sobie przypomnieć? Wellsa? Nie: to co pan mówi, że czytał, to było tylko Pragiera o Wellsie. Czy panu nic nie mówi takie nazwisko jak Ernest Hemingway? Niech pan pomyśli, przypomni sobie... Mamy czas. Nic? A czy słyszał pan — może widział na filmie — Tennesey Valley? Wie pan: ten eksperyment. A pamięta pan World of Plenty? Też nie. Nie, ja wcale nie chcę żeby się pan interesował literaturą. Wolno tak samo nie interesować się literaturą, jak wolno nie interesować się chemią, sportem, psychologią doświadczalną, marksizmem, wojnami krzyżowymi, peniciliną. Ale wtedy kiedy pan nie interesuje się *niczym*, no, wtedy, — wtedy jest już gorzej. Oczy młodego człowieka patrzą się w ten stół przed nim, i w ten jego kieliszek wódki, — i jest mi go żal, strasznie żal. A czasem nie było *jego* tak wielkiej winy że nie wyciągnął z tych lat i z tego Zachodu tyle ile mógł. Jak się rozkładała ta wina? Rozkładała się ona na tych wszystkich którzy po to by ochronić system którego byli trybami od pierwszego swego kroku na obcej ziemi wyszydzali wszystko co widzieli, nieporadność Francuzów, powolność żółwią innych gospodarzy, wysławiali wszystko co swoje, z wadami włącznie, ci co pełni własnych kompleksów niższości wołali by się zakrzyczeć „my wszystko umiemy lepiej, nic się od nich uczyć nam nie trzeba". Tak wydzielano aurę która uczeniu się od innych nie sprzyjała. Wina obejmowała tych co nie ułatwiali jak najszerszego dostępu na studia w owych latach zbrojnego czekania, ale zacieśniali to wszystko jak najciaśniej: i w tych, którym nawet pogadanka o wykopaliskach na Krecie urządzana w łonie oddziału, śmierdziała wstrętnym cywilem. Wina obejmowała ten Rząd, jeszcze demokratyczny, który niczego nie zrobił aby tamte skamieniałości przełamać, wina obejmowała te pisma polskie które miały tylko kpiny z Shawa, połajanki dla Wellsa, milczenie dla Koestlera, Hemingwaya, tych katolików których nie interesowała nawet Barbara Ward, — i...i pewnie także obejmowała nas nielicznych, bośmy jeszcze za mało wołali aby uczyć się Zachodu, jak młode narody, wykluwające się dopiero, uczyły się zawsze z pożytkiem z dorobku wielkich, starych cywilizacyj, takich nawet co już kruszyły się

w run. Tak, ale jeśli nawet i my jesteśmy tu winni, to cóż mówić o tych którzy nieprzerwanie, wytrwale i na każdym miejscu urągali z zas... Zachodu? A dziś ryczą; „Jesteśmy Zachodem.”

II. KONTYNENTALNY MAJ

Takie centrum — nie wymieniam dokładnej nazwy, raz że to może jest jeszcze tajemnica wojskowa, a poza tym że zapomniałem — takie centrum przez które przechodzą wszystkie ludzkie dostawy do dywizji, jest jeszcze pod Brukselą. W mesie oficerskiej ogłasza się właśnie, że taki a taki porucznik zamierza wstąpić w związki małżeńskie, z panną taką to a taką — kto by miał może jakie zastrzeżenia? Obyczaj. Ale nikt nie ma zastrzeżeń, panna jest córką miejscowego burmistrza, a wszyscy walą do pobliskiej Brukseli na V-day. Adiutant tylko ma poważne wątpliwości: akurat ten dzień jest dniem święcenia przez Sowietów: czy ma być i dla nas? Ale na punkcie świąt i obchodów Polacy odznaczają się zawsze olbrzymim liberalizmem, więc po paru godzinach jestem w Brukseli. Nigdy w niej nie byłem jeszcze.

Roześmiane miasto, pozujące na Paryż, bez paryskiego wdzięku, ale z flamandzką, zalatującą z północy wesołością, jest pełne wszelkich wojsk alianckich. Są nawet Czesi którzy właśnie zdobyli Dunkierkę, a w kabarecie „Kremlin” zasiadają autentyczni, złotopagonni Rosjanie znad Amudarii. Przejeżdża wolno amerykański jeep z nazwą swoją, pięknie wypisaną na przedzie białą farbą „couche-avec”, wywołując wśród panienek na Avenue Max zrozumiałe zainteresowanie. Ledwo wyszedłem z dworca zaczepia mnie polski żyd, — już wiedziałem o tych praktykach. Kilkudziesięciu polskich żydów pochodzących z różnych stron Rzeczypospolitej —(jeden aż z... Kazania, ale też się do Polski przyznawał), ukryło się z trudem w Brukseli i w okolicy, a po szczęśliwej „liberacji” wznowili ożywczą działalność tej niedocenianej, a ogólnoeuropejskiej instytucji jaką jest tak zwana Czarna Giełda. Są to magiczne kombinacje w których jest mowa o „krążkach”, „kasztanach”, postal orderach, guldenach, perfumach, żyletkach, samochodach, — i w ogóle wszystkim możliwym, bodaj z wyjątkiem czołgów. Byłem słabym klientem. Nie miałem postal orderów, nie wiedziałem co to są „krążki”, nie potrzebowałem guldenów, i zapytałem tylko czy wiedzą może gdzie jest dom Lelewela? Ale pokręcili smutnymi głowami. Byli jak moi przyjaciele z drogi: i jak ludzie z miejscowej ambasady polskiej. Nie bardzo wiedzieli kto to jest, czy kto to był, ów pan o dziwnym nazwisku, Joachim Lelewel. Trzeba było dopiero długo i pilnie szukać po uliczkach starej Brukseli. Była noc, wieczór późny, tańce po ulicach i pochody ze sztandarami, i święcenia tego pokoju który spadł niemal niespodzianie i niczego nie przyniósł jeszcze, kiedy wreszcie znalazłem smutny, mizerny i stary dom w którym przed wiekiem mieszkał i pisał emigrant z tamtego stulecia, Joachim Lelewel.

Jedyną formą narodowego wysiłku jaka zdolna jest zatrzymać na sobie uwagę Polaków jest błysk szabli. Wskutek tego nasze sięganie w przeszłość, w to co było, jest tak ubogie i płytkie, jak u niektórych plemion murzyńskich z górnego biegu rzeki Kongo, nie ma wspomnień starszych poza okres gdy zjawili się biali, a wszystko inne przedtem jest bezkształtną bryłą, wydobytą z torfowiska gdzie w jedną masę zetliły się mchy, badyle, porosty. Chrobry... Batory... Sobieski... Kościuszko... Ale i z Kościuszki zapamiętano Racławice i Maciejowice, a zapomniano tę całą walkę, życiową i serdeczną, jaką ongiś prowadził ten samotny człowiek i która go wreszcie do Racławic i Maciejowic, do brudnej sukmany chłopskiej zawiodła. Co mówiły dawniejszej Polsce ,tej sprzed 1939, tej kończącej regularnie uniwersytety i obkuwającej matury, nazwiska takie jak Lelewel, jak Świętochowski, jak Szczepanowski (ten nafciarz, nie ten biskup, ten

z wieku XIX, nie z XII) co Kołłątaj? Gdyby Lelewel był Francuzem? Gdyby Lelewel był Francuzem? Ach Boże, jakby wszystko było inaczej! Nic tak nie nudzi Francuza jak szablowaty bohater, nic tak go nie pasjonuje, nie niepokoi, nie ciekawi jak człowiek który był myślicielem, a jednocześnie czynnym politykiem, który zmieniał zacisze biblioteki na trybunę wiecową, a trybunę wiecową znowuż na biblioteczne godziny. Dobrze jest w Polsce wojować: i dobrze jest w Polsce cierpieć: ale najniewdzięczniej jest dla Polski i w Polsce mysleć. Najniewdzięczniej. Potem to o co się walczyło i pisało daremnie narzucą Polsce same *wydarzenia*, przyjdzie to *z zewnątrz*, — i kiedyś będzie to tak naturalnym i prostym jak prostym i naturalnym jest dziś dla nas to, że zniesiono pańszczyznę, że wprowadzono ubezpieczenia społeczne, że skasowano niewolnictwo... Nikt potem nie doceni samotnego człowieka który kiedyś dawno, bezskutecznie, o to pisał. To życie wygrało walkę za pana Joachima Lelewela.

Dzień Zwycięstwa tyle pozostawia wątpliwości Polakom, tak ich mało zachęca do tańców, że warto jest tak postać przed tym domem — i odtworzyć sobie. Było paru oddanych uczniów pana Joachima, i dziś odtworzyć można z tego bardzo wiele. Oto tu obok jest traktiernia w której jadał. Wychodził ot z tej bramy w swym surducie długim, w swej maciejówce dziwacznej, wychodził na niedługo, a potem w tym pokoju na piętrze zamykał się na długie godziny i późno w noc na ciemnych uliczkach biedermayerowskich świeciło jeszcze z tych okien słabiuśkie światełko. Pan Joachim pisał. Może to była kapitalna „paralela pomiędzy Polską a Hiszpanią" która dziś jeszcze, swym suchym językiem, ze swych wąskich szpalt, przerażeniem przejmuje, może jakieś dłubaniny numizmatyczne, może listy konspiracyjne do Mazziniego, do Młodych Włoch, do Młodych Niemiec, do budzących się Serbów, do uczonych czeskich? Może były to instrukcje dla lewicy ówczesnej emigracji — bo ówczesna emigracja polska miała swoją lewicę, a może dociekania o litewskim prawodastwie za Jagiellonów, może polemika z „Młodą Polską" i jej ultrasami? Dość, że w biedzie, o głodzie i chłodzie w ciszy, po nocy, nocy ogólnej jaka zapadła nad Polską, pracował na tej ulicy brukselskiej, w tym domu niepozornym, jeden z nielicznych mózgów naszej historii. Tam, w Paryżu, inni wzdychali za bigosem i chołodźcem litewskim, przypominali świat który odszedł i obiecywali sobie spędzić przyszłą Wielkanoc (albo Boże Narodzenie) już w Polsce, to jest nad Dnieprem gdzieś i Berezyną. Samotny, znienawidzony, nie rozumiany, Lelewel pisał, pisał, pisał. W Londynie, też na przedmieściach ówczesnej emigracji, inny odyniec-samotnik, Worcell, pisał także. I *oni* czynili ówczesną emigrację polską *ówczesnemu* Zachodowi bliską, zrozumiałą, szanowną. To *oni* sprawili, że bitwa pod Ostrołęką czy Białosiodłem zapadła w duszę Zachodu głębiej, niż świetniejsze militarnie od tamtych zwycięstwa pod Monte Cassino czy Chambois. To *ich*, tych samotnych, niedocenionych, zapomnianych, szacunek budzących, zabrakło nam dziś najwięcej. — Przez Brukselę nie przeszły polskie czołgi. Poszły wyżej, na Ypres, Gandawę. Ale gdyby przeszły gdyby wtoczyły się nasze Cromwelle w taką właśnie, w tę właśnie, uliczkę, to czy komu w tych czołgach zabiłoby serce gdy mijał wymarły dom Lelewela?

Pobyt pod bokiem Brukseli jest jakby wymarzony dla tak spokojnej rzeczy jak Ośrodek Zapasowy Dywizji (to właśnie owo centrum o którym przed chwilą wspomniałem) — cóż kiedy dywizja zagnała się nieopatrznie tak daleko w Niemcy, że i nas trzeba nieco „podciągnąć". Rozpoczyna się tedy nader polski wymarsz — możecie sobie wyobrazić: paręset luda, zbieranina z różnych formacyj, kilkudziesięciu oficerów, obóz, podobóz, jeszcze jeden podobóz. Pełno w tym jej walecznej młodzi która do nas szła poprzez armie Rummla, najwidoczniej markotno im że wojna skończyła się przedwcześnie, toteż ożywiona palba z różnego gatunku broni

oznajmia mieszkańcom Willebroek, że polski obóz opuszcza pociagiem ich miasto. Willebruczanie są zacni ludzie, — roztkliwia ich ten obyczaj narodowy — może nie mieli złych wspomnień z wojny? — może czytali że apud Polonos nihil sine clamore et strepitu? dosyć że zamiast się kryć machają ożywienie chusteczkami. Pociąg mija kanały, gaje, laski, kamieniczki czerwone, brzydkie, miejskie — Belg nawet na środku puszczy wystawiłby coś w rodzaju kamieniczki — tramwaje suną polem — jest zielono, ale nie ładnie. Niemniej Polusy patrzą z żalem i zachwytem: co z tego że to miasteczko czerwone jak z marchwi, ale José, ale Lucienne, ale Mina, — nie ma jak życie w Ośrodku Zapasowym! Czołowe formacje dywizji — jakieś pułki rozpoznawcze, dragoni czy co tam, wali na przełaj, płoszy wszystko, nie ma czasu na wypicie podanego wina, do dziwki z czołga nie doskoczy, — dopiero Ośrodek Zapasowy potrafi należycie rozpracować teren. Teren podbrukselski znakomicie nadawał się do takiego rozpracowania — są za to poważne wątpliwości czy nowy będzie lepszy. Jakieś pogranicze holendersko-niemieckie, już po niemieckiej stronie, pełno min, wszystko zburzone, jakieś lasy podobno, słuchy o podziemnej partyzantce niemieckiej, nie, stanowczo, teren bardzo nieszczególnie wybrany jeśli chodzi o umieszczenie tak znakomitego zespołu.

Pociągi belgijskie nie pędzą ze zbyt zawrotną szybkością, toteż wleczemy się pół dnia przez Belgię i południową kiszeczkę Holandii. Nie wiele się ona różni od Belgii, — laski, domki, kanały, kanały, laski, domki, i tu katolicy, i tam katolicy, i tu Flamandowie, i tam nie ma Holendrów. Granica w tym szczęśliwym zakątku świata to nie „pas bezpański na którym pies i strażnik stróżują", nie ma drutów, zasieków, wyrębów, ot w jednej budce drzemie jeden żandarm, w drugiej ziewa drugi, pewno razem chodzą na piwo. To nie te groźne, średniowieczne granice dobrze znane niejednemu z nas. Przez chwilę jedziemy krajem walk naszej dywizji i wszyscy rzucają się do okien żeby zobaczyć owe Grunwaldy: istotnie, rozpoznają znajomą karczmę, zdaje się im że rozpoznają jakąś zapoznaną dziewczynę przy znajomym wiatraku — na rozbite, pozostawione tu czołgi patrzą z mniejszym sentymentem: to znacznie mniej doniosłe wspomnienia. Ciągną się długie opowieści o tej i o tamtej, ot, jak to zwykle w naczalstwie bywa, nudne rozważania za co dostał Virtuti pułkownik X? Ponoć za to, że miał odwagę podać swego zastępcę do Krzyża Walecznych. Za czasów Staszica, kiedy w Księstwie Warszawskim poprzednik generała Kukiela, minister wojny, Józef ks. Poniatowski przywrócił ordery polskie, też podobne krążyły dowcipy. O co zresztą chodzi? Pułkownik X jest od dawna w Londynie, jego zastępca również, obaj tam prężą uwstążecznione biusty a Kizie i Mizie w Stratonie są święcie przekonane, że wypuszczając się z nimi do Wellingtonu Club umilają wieczory bohaterom narodowym. Tylko w polu, przy miedzy, biały, wąziutki krzyżyk... Jeden... drugi... Tym nikt już nie umili niczego. A za życia? Może tylko jakaś litościwsza ździra w Gandawie czy Dundee. Ech!

Ma się ku wieczorowi, kiedy krajobraz naraz puścieje, staje się surowszym, ruin więcej, żadnych chorągwi na domach. To Niemcy. Pociąg jedzie wolno, stacje porujnowane i puste, drogi rozbite lejami — i nikogo. Wreszcie pociąg staje i my stoimy i wysiadamy i czekamy. Jest miasteczko Goch, całe w gruzach, jacyś Kanadyjczycy, jacyś zastraszeni cywile, bardzo starzy, ale w ogóle mało kto i co. Na ulicach okurzone pyłem napisy niemieckie — jakby sprzed wieku... Konditorei... Kurzwaren... Bierstube. I na murze ostatni tu chyba napis hitlerowskiej propagandy: „Sieg oder Sibirien". Spod mostku mdły zapach... I zaraz przypomina się tamten rok. Normandia, rozbite Caen. — Ale to Niemcy, Niemcy.

I wtedy przydarzyło mi się coś co było tak literackie i sztuczne, że właściwie miałem wielką ochotę odstąpić ten „szlagier" czy „cymes" czy jak to nasi zgrywacze na łezkę nazywają, jakiejś „Polsce Łkającej" czy „Ciemnikowi Żołnierza". Bo było tak. Poszliśmy szukać wozów jakie miały

tu gdzieś po nas być, a nie były, i po drugiej stronie toru szła właśnie długa grupa cywilnej ludności, w łachach, skulona, szara, jak to całe postrzelane Goch. Wracała w wieczór z pracy przy oczyszczaniu toru. Wracała i śpiewała, niewyuczenie bardzo, fałszywie, źle, właśnie tak jak śpiewa niezgrany chór, jak popiskują baby w kościołach u nas, zawodząc jakieś „Gorżkie Żale", albo „Zdrowaś, zdrowaś, zdrowaś Mar*yyy*ja", w dodatku bez zapału, zmęczona, mechaniczna, jakby nie myślała wcale o tym gdzie jest, i o tym co śpiewa, i co znaczą słowa jakie śpiewa. I właśnie w taki leniwy, niezdarny sposób, idąc ciągnęli jękliwie, poprzez to wymarłe niemieckie Goch, ulegle, po kalwaryjsku:

„powstanie dzielny h*uuu*fiec nasz
Duch będzie nam hetm*aaa*nił
. . . .
pójdziem gdy zabrzmi złoty róg
tak nam dopomóż Bóg — —

i widać było że z tej całej literatury nie rozumieją ani co za hufiec, ani co to za duch, i co to za hetmanienie, i jaki to złoty róg. Ale tak, to byli Polacy. Wywiezieni Polacy.

Wracali zupełnie bez nikogo do pobliskiego obozu — paręset kroków — i na widok munduru brytyjskiego stanęli. (Khaki, battledress — to dla nich mundur brytyjski.) Patrzyli się na mnie, ja na nich, i już nawet poruszyli się żeby odejść w swoją stronę, kiedy zaczęli się poszturchiwać nieśmiało, coś zagadywać. Patrzyli na beret. Po chwili półkolem zaczęli się przybliżać. Takie nieznaczne przybliżanie się tłumu. Aż jedna kobieta zapytała:

— Toście som, panie, Polok?

I stało się głupio, dziwnie i jakoś smutno.

KAROL ESTREICHER

ZMIANY

III.

Koleżanka Wanda Danielska, bo tak wszyscy o niej mówili, była na Uniwersytecie znana jako katoliczka. Była przewodniczącą koła Sodalisek Mariańskich, wiceprezeską Przyszłości i członkinią zarządów różnych organizacji które w pośredni sposób kierowane były przez duchowieństwo.

Nie była brzydka, ale nie miała wdzięku, a raczej nie dbała o siebie. Uczesana niedbale, nie upudrowana, w za długich sukniach, w kapeluszu nietwarzowym, z wielkim medalem sodalicyjnym na piersi, nie miała w sobie nic pociągającego. Wyglądała na starszą niż była w istocie. Rano pracowała w szkole, a po południu biegała z posiedzenia na posiedzenie. Na studia mało miała czasu a na wykładach i seminariach historycznych (bo studiowała historię) pokazywała się rzadko, ale i tak jakoś przechodziła z roku na rok, ponieważ „pracowała społecznie".

Organizowała rekolekcje, tanią kuchnię akademicką, wypoczynkową kolonię wakacyjną, była duszą Bratniej Pomocy Akademiczek, zabierała głos na wiecach i zjazdach gdzie wygłaszała referaty, które zyskiwały powszechne uznanie.

Była wierząca. Ściślej mówiąc dużo czasu poświęcała praktykom religijnym, które uprawiała ostentacyjnie. Na studenckich zabawach oświadczała o północy że nie może jeść bo rano wcześnie biegnie do Komunii św. a wsławiła się nie podając ręki przyjaciółce, która rozwiódłszy się z mężem przeszła na protestantyzm.

Taką była i taką ją zostawmy nie obgadując jej zbytnio. Prawdą było że była irytującą, jak zawsze są ci którzy demonstrują swe wiary i przekonania. Życia zresztą nie miała łatwego bo wychowywała młodszego brata, chłopca zdolnego ale trudnego, który uczył się źle a zachowywał jeszcze gorzej. Utrzymywała się z lekcji, ucząc jako kandydatka do stanu nauczycielskiego w niższych klasach historii i polskiego w szkole Urszulanek na co dość niechętnie zezwalało kuratorium. Więc od strapień życiowych, ciężkich, za ciężkich jak na jej niedoświadczenie i młode lata uciekała jak się jej zdawało do wiary, a w rzeczywistości szukała zapomnienia w działalności organizacyjnej.

Stała razem z dwoma kolegami Pieczarskim i Halwertem, członkami zarządu Przyszłości i czekała na Wojniłłowicza. Pieczarski jeszcze w gimnazjum w Kielcach nazywał się Pieczarkiem i był chłopskim synem z Drogini koło Miechowa. Ale raz gdy potrzebna mu była nowa metryka podyktował swe nazwisko zdziecinniałemu proboszczowi i w ten sposób uszlachcił się. Halwert był warszawianinem, synem znanej i szanowanej rodziny adwokackiej.

— No, coś prezes się spóźnia — powiedziała.

— Zawsze daje na siebie czekać — mówił Halwert.

— Ha, wielkopańskie maniery — stwierdził Pieczarski który łatwo poddawał się uprzedzeniom.

— Nie będziemy czekać, jeśli nie przyjdzie za trzy minuty to pójdziemy na górę, ksiądz prałat jest bardzo zajęty i musimy być punktualni.

— A kto się z nim umawiał?

— Telefonowała pani Chroberska aby nas przyjął.

— Zawsze ci hrabiowie — syknął Pieczarski.

— Kolego tu nie ma hrabiów! nie ma różnic społecznych! Pani Chroberska jak wam wiadomo jest wiceprzewodniczącą Z.Z.K.

Danielska nie kochała się w Stasiu — choć tak twierdzili niektórzy. Ale jak to często bywa, na plotkach było coś prawdy. Nie była to miłość, pragnienie silnych, męskich ramion, bo bezmyślność erotyczna Danielskiej a także jej pełne kłopotów życie nie dopuszczały namiętności, ale było to marzenie małżeńskie — nieosiągalne jak słusznie przypuszczała. Być może psychoanalityk odkryłby w tym stosunku dziewczyny do młodego człowieka coś więcej niż miłość czy sublinowany erotyzm, być może odkryłby w niej kompleks macierzyństwa i rodziny, czułości której nie zaznała jako dziecko, pieszczot których jej brakło, których ani otrzymać ani dać komu nie miała.

Lecz psychoanaliza odsłaniając wstecz zagadki indywidualności ludzkich, odsłaniając wiele, właśnie dlatego zaciemnia zjawiska i postępki. Staromodnie a po prostu mówiąc Danielska byłaby się „przeszła" za Wojniłłowicza, ale ponieważ wiedziała że to jest niemożliwe, więc poprzestała na przyjaźni, na popieraniu go i na pracy za niego jako prezesa. Bo od niejakiego czasu Stanisław się opuścił, o Przyszłość mało dbał, z musu przychodził na zebrania zajęty czytaniem, robieniem notatek a także dysputami z lewicowymi kolegami. Nieraz dziwiła się Danielska co ciągnie go do nich.

Tegoroczny zjazd zorganizowała ona. Stanisław podpisywał tylko papiery, zaproszenia, programy, rzadko kiedy decydując. Wprost przeciwnie niż dawniej.

Instynktem kobiecym wiedziona Danielska szybko odgadła, że tą przyczyną braku inicjatywy u prezesa jest nie żadna miłość, jak przypuszczały koleżanki, ani lenistwo jak podsuwał Pieczarski, ale po prostu wewnętrzne wątpliwości czy drogi na które przyszłościowcy chcą wstąpić są słuszne i dobre. Danielska odgadła to wcześniej niż sam Stanisław, bo kiedy mu to powiedziała, zaprzeczył nie bez nuty pewnego zdziwienia i zakłopotania:

— Nie, nie ma pani racji panno Wandziu. A może ja sobie tego sam nie uświadomiłem? Istotnie wielu rzeczy nie jestem pewny...

— Czy dotyczy to religii, dogmatów — pytała dalej, bo chciała mieć temat do rozmowy o Stasiu z jego ciotką. Tej lubiła się zwierzać, pytać o rady, prosić o protekcje, a w istocie podchlebiać, bo arystokratyczne i protegujące maniery panny Chroberskiej imponowały Danielskiej. Zresztą może tędy udałoby się jej przyzwyczaić Stasia do siebie, przyzwyczaić, a potem kto wie...

Nie, ale tak daleko nie szła. Czuła że to w gruncie rzeczy niemożliwe, że młody człowiek nigdy nie spojrzał na nią tak jak widziała że popatrzył na Regę Schönfeldówną, ich piękną koleżankę która budziła niepokój nawet u antysemitów.

Ale właśnie zajechała taksówka, a z niej wysiadł Staś płacąc i dając napiwek kierowcy, z tą łatwością i pewnością postępowania, która irytowała Pieczarskiego. Mruknął:

— Ho ho, kolega zawsze taksówkami, a my tu musimy czekać.

— Przepraszam — i znowu powiedział to po prostu, trochę niedbale i tylko podniecił Pieczarskiego. Nie wiedział jednak co powiedzieć.

Tymczasem Danielska i Halwert nie dopuścili do dalszych dyskusji czy złośliwości.

— Już musimy lecieć na górę. Najwyższy czas.

Gdy stali przed drzwiami Stanisław pytał kolegów:

— Ale co ja właściwie mam mówić? Dlaczego idziemy? Co za delegacja?

Szybko, zdyszanym głosem, urywanymi zdaniami tłumaczyła Danielska:

— Zjazd Z.Z.K. młodzieży. Prałat ma przemówić. Trzeba go o to poprosić. Zresztą ja zreferuję program. Wy tylko zagajcie. Potem ja...

Lecz nie skończyła bo Augustynka otworzyła drzwi.

Zaczęły się powitania, grzeczności, uśmiechy. Stara sługa znała panienkę, a że ją przyjmował ksiądz prałat więc musiała to być zacna i dobra panienka. Znała i Stasia którego tytułowała „jaśnie paniczem" i Pieczarskiego i Halwerta których „wielmożnymi panami" nazwała, wszystkich zapraszając do salonu.

— Ksiądz prałat pracuje, zaraz przyjdzie, zaraz mu powiem.

Siedzieli i mówili szeptem. Stanisławowi Wanda tłumaczyła program Zjazdu i inne szczegóły organizacyjne. Pieczarski z Halwertem siedli przy stole i rozglądali się po salonie. Pieczarski był w złym humorze, czuł się niedobrze, jak czuł się zawsze w towarzystwie Stanisława. Halwertowi chciało się spać i po trosze było mu wszystko jedno. Umówił się na szóstą do kina z Regą Schönfeldówną i myślał głównie o tym czy się nie spóźni.

Salon księdza prałata Matusika wysprzątany czysto, wytarty i wypucowany nosił na sobie piętno pokoju którego nikt nie używa. Mahoniowe meble były pokryte aksamitem a poręcze chroniły przed wytarciem serwetki „richelieu".

Na ścianach wisiały reprodukcje Stachiewicza cyklu „Królowej korony polskiej", wielki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, dar parafian zorganizowany przez wikarego gdy księdza Matusika powołano do Warszawy, oraz kilka olejnych obrazków z kwiatami.

Na stoliku nakrytym serwetką haftowaną przez zakonniczki Serca Jezusowego z Brdęci, leżały albumy z fotografiami. Najstarszy z nich rozpoczynało wyblakłe zdjęcie młodego ks. Matusika w Rzymie, potem szły fotografie parafii, znajomych księży, szkoły w której kiedyś uczył, pielgrzymki do Lourdes. Osobno leżał imponujący album ofiarowany księdzu w dwudziestopięciolecie kapłaństwa przez współpracowników kooperatyw katolickich. Dowód popularności księdza, jego osobistą próżność pobudzający a zarazem niewątpliwy dowód jego pracowitości na polu społecznym i jego zmysłu organizacyjnego.

Lecz młodzież oglądając owe fotografie nie rozumiała ich. Dla nich było oczywistym że ksiądz Matusik był znakomitością w stolicy, w kurii,

w organizacjach katolickich, osobą do której odnosić się trzeba z największym szacunkiem.

Zmęczony dowodzeniami Danielskiej w kółko tłumaczącej to samo Stanisław przerwał jej i zaczął się rozglądać po pokoju.

— Jak tu brzydko, pomyślał, jak tu nie ma smaku.

Ale zaraz przeląkł się tych myśli, w których było pewne poczucie wyższości.

Nie miał zresztą czasu na zbyt długie i skomplikowane rozmyślania, jakie od niejakiego czasu męczyły go coraz częściej, bo właśnie wszedł ksiądz Matusik, poważny, skupiony, z głową podniesioną i przywitał się ze wszystkimi.

Wanda Danielska dygając pocałowała go w rękę, tak samo uczynił Pieczarski kłaniając się niezgrabnie, Halwert pochylił się jakby miał pocałować ale właśnie ksiądz Matusik zniżając dłoń dobrotliwym tonem powiedział:

— Nie trzeba młodzieży kochana, nie trzeba...

Więc Stanisław, który witał się na końcu skorzystał skwapliwie z tego powiedzenia, by tylko nisko pochylić głowę.

I zaczął natychmiast mówić tonem swobodnym, prostym, intonacją łatwą i oczywistą:

— Zarząd Przyszłości którego imieniem mam zaszczyt przemawiać przyszedł wielebnego księdza Prałata prosić na jutrzejszy zjazd w sali katolickiego domu. Pragnęlibyśmy gorąco by obrady popołudniowe dotyczące organizacji życia młodzieży polskiej ksiądz prałat był łaskaw otworzyć słowem wstępnym...

Danielska zrobiła się niespokojna. Cóż się stało Stanisławowi? Opuścił program ranny? Przecież rano ma być Msza św. i wspólna komunia sodalisek żeńskich i męskich, potem zebranie przedwstępne, złożenie wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza, obrady Prezydium i na to trzeba także zaprosić księdza prałata. Może będzie chciał być obecnym? Kładła to przecież Wojniłłowiczowi w głowę. A on nie pamięta.

— Nie nie pamięta — myślała Danielska — tylko nie chce. Jest przeciwnikiem ingerencji księży w życie młodzieży. Przecież nieraz jej to mówił. Dowodził że jeśli działalność katolicka ma wydać owoce, to z sutanny nie można robić sztandaru. Tak się wyraził, nieco trywialnie.

Danielska przerwała:

— Ale jeszcze przedtem program ranny, kolego prezesie...

— Nie śmiemy oczywiście zabierać cennego czasu księdza Prałata naszym programem rannym. Mamy cichą Mszę św. potem obrady organizacyjne Zjazdu i złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza. Gdyby jednak ksiądz Prałat był łaskaw...

Było to powiedziane tak zręcznie, że prałat Matusik nie spostrzegł drobnego zadrażnienia Danielskiej.

Był bardzo zajęty. Istotnie nie miał czasu. Msza, obrady Prezydium nie interesowały go. Ale złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza to publiczna demonstracja o której pisać będą dzienniki i którą ludzie będą oglądać. Ksiądz Matusik nigdy nie opuszczał sposobności by wystąpić publicznie.

Dlatego odpowiedział z godnością:

— Nad moim zagajeniem zastanowimy się jeszcze. W rannych obradach nie mogę niestety wziąć udziału, ale co do złożenia wieńca to może znajdę chwileczkę wolnego czasu, by z wami razem oddać hołd bohaterstwu.

W tej chwili weszła Augustynka zapraszając do jadalni na kawę.

— Pogadamy o tym wszystkim przy kawie i winku. Bo musimy się napić na powodzenie Przyszłości i jej dzielnych pracowników!

Stół był obficie zastawiony. Obrus w bławatki, duże filiżanki pełne kawy ze śmietanką, kanapki z salami, serem i z sardynkami, babka i ciastka z kremem oraz kieliszki na czerwone wino.

Pieczarski z przyjemnością wypił drugą kawę i zjadł kanapki stojące przed nim. Halwert niespokojny czy nie spóźni się do kina na szóstą jadł ciastko i radby czym prędzej wstać od stołu, Danielska skubała drobnymi kawałeczkami babkę bo zauważyła że tak jadła zawsze panna Chroberska, wreszcie Staś Wojniłłowicz pił powoli czarną kawę.

Ksiądz Matusik był dobrym organizatorem ale nie był pedagogiem. Umiał uzyskiwać wpływ na ludzi, na parafian, współpracowników jedynie przez organizację, to znaczy przez uzależnianie ich od siebie. I tak rozumiał pedagogię. W sposób najprymitywniejszy, najgrubszy jak często niestety rozumieją ją ci, którzy w kierowaniu młodzieżą chcą przede wszystkim wyżyć swe własne ambicje i żądzę władzy.

Nie dopuszczał młodzieży do równości. Zjawisko częste w pedagogii, zwłaszcza w pedagogii polskiej. Tymczasem w okresie międzywojennym pedagogia autorytetu skończyła się, a młodzież rwała się do działalności i decyzji. Nie tylko w Polsce lecz w całej Europie obniżało się wykształcenie a równocześnie upowszechniało. Stąd wzrost ambicji młodzieży, chęć wyżycia się w karierach do których dopuszczana nie była. Stąd jej podatność do buntów i zmian i do skrajności kierunków które ją uznawały.

Ksiądz Matusik był zazdrosny, zazdrosny o młodość którą zobaczył przed sobą. Sam strawił swe życie na pracy, służbie Kościołowi i społeczeństwu szybciej niż ogarnąć je mógł myślą a teraz widząc zbliżający się koniec nie zdawał sobie sprawy że cudza młodość, pełnia lat i możliwości, budzi w nim żal że jego życie już przeszło.

Ksiądz Matusik nie był pedagogiem, dlatego przypuszczał że młodzieży trzeba narzucać wolę, poglądy, doświadczenie a nie wiedział że trzeba na wolę, na poglądy, na niedoświadczenie wpływać.

Młodzi goście siedzieli wokół stołu onieśmieleni przez barczystego mężczyznę, który im się bacznie przypatrywał z wysilonym uśmiechem życzliwości.

Wreszcie wstali, wrócili do salonu i usiedli naprzeciw księdza. Czuli się jak uczniowie a nie jak młodsi przyjaciele swego gospodarza. Księdzu Matusikowi smakowało to, uważał to za uznanie dla swej pracy, dla ideałów jakie szerzył. Czuł że czynił na nich wrażenie.

Od razu zaczął prawić o zadaniach młodzieży katolickiej. Stwierdził że w latach jego młodości nie było między młodzieżą tego zepsucia, tego materializmu jaki jest obecnie. Chłopcy byli pracowitsi, dziewczęta skromniejsze. Nie było żądzy zabawy ale było pragnienie pracy. Mrzonki społeczne i niebezpieczne teorie przeżerały dusze nielicznych, reszta myślała kategoriami narodowymi.

Nie czuł że popadł w kazanie. Głos jego przybrał przeciągłe, śpiewne trochę akcentowania, ton do jakiego przywykł w kościele. Mówił pełen troskliwości i boleści, połączonych z sztywnym wyrazem twarzy. W miarę słów sam się podniecał, głos jego podnosił się i obniżał, dźwiękiem obliczonym na sklepione nawy lecz nie na pokój.

Ale był z siebie zadowolony. Przed nim siedziało czworo młodzieży i słuchało uważnie tego co mówił.

Czy ich przekonał, czy pozyskał ich, tego pytania nie zadał sobie nawet. Przyzwyczajony jak większość duchowieństwa do kaznodziejstwa, do narzucania myśli, nie był w stanie wyobrazić sobie aby mogło być inaczej.

Pochwała przeszłości była całkowita, tak samo jak całkowite było potępienie współczesności. Pierwszy a zasadniczy błąd w stosunku do młodych umysłów, które przyrodzonym krytycyzmem wiedzione zaczynają wątpić w bezwzględnie narzucane racje.

Ale że milczeli przez nieśmiałość i nieumiejętność odpowiedzi, przez brak wprawy dialektycznej więc milczenie ich brał ksiądz Matusik za przekonanie, a nieśmiałość za podziw.

I postanowił przejść do spraw organizacyjnych:

— Przyszłość i „przyszłościowcy" nie mogą zasklepić się w wewnętrznych sprawach organizacyjnych, lecz muszą stać się awangardą Polski, muszą objąć coraz szersze kręgi społeczeństwa, coraz głębiej muszą przenikać. Mamy pod tym względem w dziejach Kościoła wzór niedościgły w działalności świętych. Uczą nas Dzieje Apostolskie jak Duchem Świętym oświeceni ubodzy rybacy Chrystusa Pana rozeszli się po możnym imperium Cezarów i nauczali...

Znowu popełnił błąd. Ludzie wielkich ruchów społecznych, religijnych, ustrojowych doszedłszy do władzy i głosu uprawiają kult bohaterstwa. Wprowadzają własne koncepcje i oświetlenie zjawisk, narzucają własną prawdę by przez nią wychowywać. Kościół, kościoły chrześcijańskie, przez wieki nauczania posługiwały się przykładami ze swych wczesnych dziejów dla celów wychowawczych. Przykłady te działały na uczucie i umysły dopóty, dopóki nie miały współzawodnictwa historii narodowej, państwowej, świeckiej. Odległe czasy, ludzie i czyny działały i podniecały. Ale dzieje apostołów i ich pracy w chwili gdy o wiele bliższe i wyraźniejsze fakty stoją przed umysłami nie działają dostatecznie obrazowo, nie przekonywują. Młodzi słuchacze nie byli poruszeni.

Mówił dalej:

— Ów świat był zepsuty, pogański i zły. Piotr i Paweł wiedzeni ręką Bożą przeszli przez niego, wszędzie tworząc koła wiernych, rzucając im prawdziwą ideę. Nie bali się męczeństwa wiedząc że zostawiają posiew twórczy i płodny. I wy tak przejść musicie...

Nie bójcie się walki, nie myślcie by walka nie była potrzebna lub nie była błogosławiona. Dzieje Kościoła to historia walki o prawo Boże przeciw masom pogańskim, przeciw monarchom zeświedczałym, przeciw zbłąkanym heretykom, przeciw myślom szatańskim. Dziś bardziej niż kiedykolwiek widzimy że szatan działa.

„Szatan", „heretycy", „pogaństwo" wydawały się księdzu Matusikowi wyrazami dostatecznie mocnymi. Miał pod tym względem duże doświadczenie. Pamiętał że zawsze czyniły te wyrazy wrażenie na pobożnym ludzie w jego wiejskiej parafii.

I od razu przeszedł do faktów:

— Żydostwo, wróg odwieczny Kościoła i chrześcijaństwa, a szczególny wróg katolicyzmu podnosi głowę. Żydzi przeżerają nasze życie, opanowują handel, prasę, politykę międzynarodową. Za ścianę o miedzę pchnęli naród rosyjski w obłęd bratobójczy i grożą że to samo uczynią w Polsce, w Niemczech, na całym świecie. Z ludźmi tymi zgubionymi, bo nie poddali się oni nigdy łasce wiary, nie może być żadnego kompromisu lecz musi być przeprowadzona walka równie bezwzględna jak ta którą oni prowadzą...

Ksiądz Matusik roznamiętnił się. Uniósł głowę, rozszerzył oczy i przeszedł do żądań. Żądał by „przyszłościowcy" rozwinęli akcję przeciw żydowską, by członkowie organizacji przenikali do innych organizacji młodzieży, by tam przez pracę i zapał wchodzili do zarządów, by tworzyli koła młodzieży wiejskiej, robotniczej, gimnazjalnej. Znajdą się na ten cel środki, znajdzie poparcie odłamu prasy pokrewne ideały żywiącej, znajdzie nawet ciche poparcie Rządu a przynajmniej niektórych jego organów.

— Mamy — kończył kreśląc ten program działalności — obecnie wzory jak działać się powinno i jak można uratować ojczyznę i wiarę. Naród włoski dzięki młodzieży uratował się znad skraju przepaści! Nasze organizacje młodzieży narodowej tak chlubne mając karty w swej przeszłości dziś idą do pokonania materialistycznej myśli. Trzeba szczególną uwagę zwrócić na związki tak rycerskie jak korporacje, których działalność trzeba zjednoczyć, rozszerzyć, ujednostajnić. Korporacja Syrenia uzgodniła swój program, a jej rozwój świadczy że program ten porywa młodzież.

Danielska myślała co powiedzieć w dyskusji, jak pochwalić prałata az jego piękne słowa tak aby był zadowolony. I doszła do przekonania że powie parę słów o zadaniach organizacji żeńskich, słów jakie zawsze mówiła na temat obowiązków Polki, katoliczki, przyszłej żony i matki. Nie rozumiała dobrze o co szło księdzu Matusikowi właściwie, ale postanowiła go poprzeć słowami pełnymi zachwytu i zapału, zwłaszcza że zawdzięczała mu i stypendium i umieszczenie brata w bursie.

Halwert był niespokojny. Był zły że dochodzi szósta, że przepadła mu randka z Regą. Całe szczęście że umówił się u niej w domu i że zastrzegł się iż być może nie będzie mógł przyjść. Nie słuchał w ogóle tego co mówił ksiądz, ale pamiętał że nie może się niczemu sprzeciwiać, ponieważ ojciec jego był znanym mecenasem katolickim i syndykiem dóbr arcybiskupich. Po ojcu miał objąć kancelarię syn. Więc ziewał bardzo dyskretnie przez cały czas, udając że czyści sobie okulary.

Pieczarski wyczuwał w słowach księdza to podniecenie które istniało i w nim. Żądzę utożsamiał z zapałem, zazdrość ze sprawiedliwością, nienawiść z siłą, nieufność z krytycyzmem, chytrość z mądrością. Przez cały czas myślał o tym jaki miał cel ksiądz prawiąc to kazanie, kto go do tego podmówił i co mu za to obiecał. Jaką korzyść odniesie z tego on, Pieczarski, czy ma zabrać głos po słowach księdza czy może lepiej milczeć, czy może poruszyć krzywdę chłopskich synów w mieście czy wystąpić przeciwko żydom do których nie czuł żadnej niechęci, a którzy imponowali mu sprytem. I postanowił zobaczyć co powiedzą inni koledzy.

A Stanisław? Prezes organizacji i przewodniczący delegacji do której mówił ksiądz prałat. Cóż on myślał?

Przede wszystkim doznał rozczarowania. To były pierwsze jego uczucia gdy ksiądz skończył przemawiać. Spodziewał się pewnej konsekwencji w zakresie chrześcijańskiej ideologii miłości bliźniego, broni najsilniejszej Kościoła przeciw zarzutom społecznym, a tymczasem uświadomił sobie że w duszy księdza Matusika jest żarliwość, namiętność, siła przekonania a nie ma żadnego zrozumienia drugich. Nie śmiał (nawet w myślach) nazwać tego co usłyszał nienawiścią czy drapieżnością, ciemnotą, ciasnotą i przesądami, bo bał się popaść w konflikt z sumieniem.

Sumieniem? Nie, przecie wiedział że tylko w sprawach wiary i dogmatów istniała nieomylność Kościoła, lecz nie w sprawach życia. Że księża tak samo jak wszyscy ludzie mogli się mylić mówiąc o prawach fizycznych czy społecznych. Nie wątpił że ksiądz Matusik się mylił.

Kościół i religia głosiły pokój i miłosierdzie i wybaczenie; to powinno być właściwą drogą i te ideały jest obowiązkiem młodzieży nie tylko głosić ale stosować w życiu. Nie może być niekonsekwentny jako prezes. Musi postąpić tak jak mu nakazuje sumienie a przecie wiadomo że człowiek który się kieruje sumieniem nie może popełnić grzechu-omyłki. Tak go uczył kiedyś ksiądz Francuz i to zapamiętał dobrze.

Pierwsza swym cienkim głosem zabrała głos Danielska:

— Księże prałacie, słowa które ksiądz prałat raczył nam tutaj rzucić to najwspanialszy program społeczny i narodowy. Sądzę że musimy się nad nim zastanowić i wcielić go w życie. Jego realizacja jest niesłychanie ważna, a przed katolickimi organizacjami żeńskiej młodzieży akademickiej otwierają się nowe zadania. My które mamy wychować nasze członkinie na matki, Polki, katoliczki...

I wylała z siebie potok słów, które stale powtarzała i w które szczerze wierzyła. Zakończyła je cytatem z Mickiewicza, jedynym cytatem który znała na pamięć, którym zawsze posługiwała się gdy chciała zrobić wrażenie.

Halwert jako sekretarz Przyszłości wypowiedział się szybko, przypuszczając że może dyskusja się skończy lub że w ogóle się nie rozpocznie, że może wstaną i pożegnają się a on spóźniony o kwadrans zdąży na spotkanie z Regą.

— Myślę że na jutrzejszym zebraniu zarządu Przyszłości omówimy to co przewielebny ksiądz prałat był łaskaw nam powiedzieć i przygotujemy odpowiednie wnioski. Na najbliższym wiecu Bratniej Pomocy chcemy żądać dwóch miejsc w prezydium ale aby je przeprowadzić muszą przyjść na zebranie koledzy klerycy ze Seminarium i poprzeć nasze stanowisko.

Pieczarski nie chciał zabierać głosu ale jako członek Pługa przypominał sobie że dwa miejsca w Zarządzie Bratniaka muszą się przede wszystkim dostać młodzieży ludowej. Halwert wyrwał się głupio. Pieczarski nie był wymowny nie umiał dyskutować. Bał się że będzie przegadany ale poniosła go równocześnie złość że pod księżowskim wpływem gotów Pług stracić to na co liczył. Więc nie zastanowiwszy się grzmotnął:

— Katolicyzm i wiara owszem posiadam i nie można powiedzieć żeby nie... tego... co ksiądz prałat mówił nam nie odpowiadało, ale my nie możemy także tak zaraz wleźć w te sprawy przeciw żydom, bo musimy i o tym pamiętać że krzywda w Polsce nie tylko od żydów ale i od innych spływa. Kolega Halwert niech przez kleryków nie dysponuje miejscami w Bratniaku bo klerycy ani śpią ani jedzą w Bratniaku. A co do polityki to ja myślę że Przyszłość ma przede wszystkim o ludzie myśleć i wśród niego pracować a nie wsród korporantów i paniczów.

Z przemówieniem Pieczarskiego wzrosło zadrażnienie. Wnosił je zawsze kiedy się odezwał. Pieczarski skończył i spojrzał na Wojniłłowicza. Był przekonany że prezes organizacji wystąpi przeciw niemu i że złagodzi jego stanowisko jak to zawsze czynił. I już gotował się do obrony swojego. Postanowił nie popuścić. Ksiądz nie ksiądz on swojego nie da!

Ale o dziwo Stanisław nie wystąpił przeciwko niemu, przeciwnie rozpoczął od poparcia Pieczarskiego.

— Popieram księże prałacie o tyle stanowisko kolegi Pieczarskiego że zadaniem Przyszłości jest głosić ideały chrześcijańskie i wcielać je w życie jak to pierwszy paragraf statutu zawiera. Krzywda społeczna w Polsce jest istotnie duża na wsi i po miastach, i „przyszłościowcy" muszą zwracać na to uwagę. Jeśli nasz ruch ma wydać owoce, jeśli ma się rozszerzyć musimy być postępowi, powiem nawet w pewnym sensie „lewicowi", oczywiście w sensie społecznym.

I zaczął rozwijać teorię równości materialnej opuszczając to wszystko co zdało mu się godzić w ideały katolickie. Nie czynił tego spokojnie bo na to był za młody. Zapalił się. W antysemityzmie dostrzegł nienawiść, zaprzeczenie nauki Chrystusa, a korporantów opisał jako reakcjonistów. Nie wiedział jak inni koledzy, jak jutrzejszy zjazd ustosunkuje się do zagadnienia współpracy organizacyjnej z korporacjami, ale on jako prezes jest temu przeciwny..

Ksiądz Matusik zdumiał się. Nie spodziewał się by zaraza lewicowości sięgnęła aż tak daleko, by nawet siostrzeniec panny Izy Chroberskiej...

Koledzy zawrzeli. Danielska przelękła się tego co Stanisław mówił, bo tam padły słowa o nędzy, o niesprawiedliwości, o robotnikach i chłopach, a to wystarczało by ją przerazić. Halwert pomyślał że gotów być zamieszany w jakiś spór i utożsamiony z Wojniłłowiczem, a Pieczarski dojrzał nagle możliwość przesilenia na stanowisku prezesa i objęcia jego funkcji. Więc było mu niewygodnie że Stanisław go poparł. Dlatego postanowił raczej ustąpić w sprawie miejsc w Bratniaku a do tego co powie ksiądz przychylić się.

Ale ksiądz Matusik zastosował ton zupełnie odmienny niż ten, którego można by się spodziewać. Długie lata praktyki duchownej nauczyły go (a także wiedział to dobrze z dziejów Kościoła) że zbłąkana owca nie zawsze jest stracona i że spychać jej w przepaść potępienia nie wolno. Jego doświadczenie nakazało mu uczynić taktyczny odwrót, zmienić ton na dobrotliwy i łagodny, a walkę ze stanowiskiem Wojniłłowicza (o ile nie ukorzy się) przeprowadzić po cichu i poza nim. Dlatego przybrał pozę ojcowską i wyrozumiałą, zgodził się z tym co Stanisław mówił, pochwalił

go nawet i w ten sposób próbował pozyskać. Wysoko podniósł jego troskę o idealizm chrześcijański, wskazał na encykliki papieskie a przede wszystkim na natchnioną encyklikę „Nihil Novi” w której Kościół właśnie to samo co Wojniłłowicz stanowisko zajmował. I już był przekonany, że sprawę załagodził, że zatarł wrażenie którego nie spodziewał się i że uratował swą powagę.

Ale Wojniłłowicz reagował. Był podrażniony zajściem w kawiarni, był podrażniony od dłuższego czasu w ogóle walką która się w nim rozgrywała. Żądał konsekwencji i teraz postanowił być konsekwentny.

— Antysemityzm nie da się pogodzić z ideałami miłości bliźniego! Zła złem wykorzeniać nie wolno, pysznieniem się jednych przed drugimi jak to czynią korporanci. Ja — powiedział trochę aroganckim tonem — na żadną współpracę z korporantami nie pójdę.

— Kolega nie decydujesz — rzucił mu Pieczarski.

— Osobiste sympatie kolegi nie mogą nas wiązać — wtrącił Halwert.

Danielska coś piszczała ale od rzeczy i nikt jej nie słuchał. Chciała łagodzić bo przelękła się zwłaszcza, że zobaczyła błysk w oczach księdza Matusika.

Ale on stał się jeszcze spokojniejszy, jeszcze łagodniejszy. Mówił że uznać trzeba rozmaite stanowiska i że walka ze złem nie ma nic wspólnego z nienawiścią. Kierowany miłością bliźniego Kościół ustanowił kiedyś zakony rycerskie i z ich pomocą zwalczał pogaństwo.

— Krzyżacy — powiedział Wojniłłowicz nieprzyjemnym tonem. Czuł że traci nad sobą panowanie, czuł że słuszność jest po jego stronie a nie rozumiał dlaczego nie może ich przekonać.

Ale ksiądz Matusik widząc podniecenie swych gości nie stracił panowania.

— Kościół nigdy nie twierdzi że pewne instytucje powołane przez niego nie mogą się spaczyć i zepsuć. Ale nie znaczy to by ich początki nie były dobre...

W dyskusji o stosunku do żydów ksiądz Matusik był słabszą stroną, gdy dość gwałtownie zaatakował Stanisław stanowisko czynnego antysemityzmu. Twierdził że doprowadza ono do rozlewu krwi i że dlatego trzeba się mu w ogóle przeciwstawić. Wspomniał o przykazaniach.

Dopiero ksiądz Matusik przeląkł się. Tu dyskusja chaotyczna i podniecona godziła nie tyle w niego ile w dogmaty, bo zaczepiała praktykowanie ich w życiu a tym samym mogła łatwo wkroczyć na drogę herezji. A niczego nie bał się ksiądz Matusik tak jak herezji...

Gdyby był dalej zachował łagodność i cierpliwość może byłby sprawę wygrał. Ale w obliczu herezji on stracił z kolei panowanie nad sobą i zimno powiedział:

— Skoro pan prezes ma wątpliwości co do mego stanowiska nie wiem czy moja obecność jutro jest wskazana. Nie wiem czy w ogóle...

Lecz nie skończył. Rozgniewany, podniecony i rozbolały niezrozumieniem, przekonany o swej słuszności uczynił Stanisław krok który był „wysoce nierozważny”, jak to później w rozmowie z księdzem prałatem przyznała panna Chroberska.

Oto zrzekł się z miejsca stanowiska prezesa Przyszłości, członka zarządu Z.Z.K. oraz innych funkcji. Uczynił to w formie gwałtownej, nieprzyjemnej, obraźliwej tak jak czyni to po prostu chłopiec w dwudziestym drugim roku życia — a nie jak to przesadnie określił ks. Matusik — zbłąkana owca Kościoła.

Wyszedł zamykając drzwi bardzo głośno, nieomal trzaskając nimi. Jakich użył słów, co powiedział naprawdę a co chciał powiedzieć nie pamiętał niestety, a plotki między młodzieżą na pewno fałszywie owe słowa oddawały.

Zarząd Przyszłości obradował długo w noc pod przewodnictwem kolegi Pieczarskiego i w obecności kuratora oraz księdza moderatora. Uchwalono

przyjąć do wiadomości rezygnację Wojniłłowicza bez podziękowania mu za dotychczasową pracę. Urzędujący prezes Pieczarski zaproponował wyrazy hołdu i zaufania dla księdza Matusika. Równocześnie specjalna delegacja złożona z członków komisji rewizyjnej oraz z seniorów Przyszłości zapowiedziała rano przepraszającą wizytę u księdza prałata z prośbą by przez nietakt jednego z członków nie pozbawiał zjazdu swej cennej współpracy.

Zauważono że przy wszystkich głosowaniach koleżanka Danielska ledwo wstrzymywała się od łez.

IV.

Romans pułkownika Wolańskiego z Jolą Martysiakówną głośną aktorką i pięknością Warszawy nie był tajemnicą dla nikogo. Ostatnia dowiedziała się o nim pułkownikowa Wolańska a dowiedziawszy się przyjęła tę wiadomość obojętniej niż przypuszczali znajomi że przyjmie. Bo w jej życiu romans męża stanowił ulgę, oznaczał wolność i niezależność od człowieka, którego kochać przestała.

Janka Wolańska była młodą dziewczyną gdy w roku 1920 w szpitalu polowym przyszło jej pielęgnować bohaterskiego pułkownika Wolańskiego, dowódcę ułanów mińskich którego sławą rozbrzmiewały miasta Białej i Czerwonej Rusi. On to z końcem 1918 roku stanął na czele oddziału straceńców i utrzymywał się samotny na Białej Rusi po ustąpieniu Niemców. Wtedy wykonał swój rejd na Mińsk, potem nagle gdy przypuszczano że znajduje się pod Lidą pojawił się w 500 koni pod Zbarażem gdzie rozbił organizującą się właśnie III ukraińską dywizję a następnego dnia przedarł się do Lwowa przywożąc sprzęt i amunicję. I znowu znikł i znowu wypłynął pod Baranowiczami, tym razem już z pułkiem koni, kompanią karabinów maszynowych i zbieraniną ludzi z całej wschodniej półkuli świata. Zbieranina szlachty, inteligentów, robotników polskich z Rosji, skazańców i jeńców ze Sybiru, wykolejeńców białogwardyjskich, Żydów, Rumunów, Ormian, Greków i Gruzinów. Wiódł także oddział złożony z Tatarów i Kirgizów którzy szli za nim pod malowniczą chorągwią proroka i pod buńczukami, a którzy wsławili się pod Mińskiem w walce na tasaki. Bo z własnego mianowania pułkownik Wolański nie przebierał w ludziach, a tylko przebierał w koniach. Każdy był dobry kto przywiózł dobrego konia, wziął się do szabli a strzelał od biodra, z krótkiego, przyciętego karabinka.

Pułk jego był malowniczy w strojach, huczny w paradzie, w boju śmiały. Mundury były rosyjskie, austriackie i pruskie, kombinowane jak kto chciał z odznakami polskimi. Pułkownik strzegł dyscypliny żelaznej. Trzymał za mordę tych włóczykijów i bieżeńców, dając im czasem pohulać wśród krwią spływających ziem ruskich. Strzegł dyscypliny ale sam poddać się nie chciał żadnej komendzie. Rozmiłowany w „Potopie” wzorował się we wszystkim na Kmicicu i nawet swego ukochanego wachmistrza Putyłę nazwał Soroką, byle pismu w które wierzył stało się zadość.

Miał za sobą istotnie fantastyczne czyny od których rozbrzmiewała Polska. W Żytomierzu otoczył budynek czerezwyczajki i wybił komisarzy i uwolnił dwa tysiące ludzi skazanych na śmierć. Innym razem zapowiedział że jeśli wypuszczonym nie zostanie jego przyjaciel w Połocku, zjawi się tam osobiście. I obietnicy dotrzymał bo przebrawszy kilkunastu ludzi za czerwono-gwardzistów wszedł do gmachu pojezuickiego i prezentując bumagę opatrzoną suto pieczęciami, skazańca przeprowadził na dworzec, gdzie siadł na pancerną lokomotywę i odjechał uroczyście.

Bawił się tą wojną i igraniem z własnego życia. Zyskał sławę, ordery, wdzięczność tysięcy Polaków których wyratował lub ochronił przed śmiercią. Hulał i bił się równocześnie a potem pułk swój powiódł na Kijów i stracił go osłaniając odwrót. Wreszcie sam zwalił się z konia postrzelony,

porąbany kozackimi szablami, zgnieciony kopytami. Gdy odszukano go po bitwie, nie myślano że będzie żył. Wydawało się że bohater-zagończyk ranny w brzuch i cięty przez czoło nie przeżyje nocy. Lecz transfuzje krwi, młody organizm i czuła opieka przywróciły go światu i oddały Jance.

Janka była córką nauczyciela matematyki w szkołach wileńskich, Jana Matuszewicza i Anny z Zabiełłów. Matkę straciła wcześnie i nie pamiętała jej. Ojciec Janki umarł niedawno, w rok po ślubie z Wolańskim. Może lepiej — myślała nieraz — że umarł, martwiłby się bardzo moim pożyciem z Władziem. Krewnych nie miała bo ojciec z głębi Rosji przybył do Wilna a ziemiańska rodzina matki rozrodzona na Litwie nie bardzo spieszyła się przyznać do jakiegoś tam bakałarza. Zresztą były to czasy wojenne, rewolucyjne i mało kto myślał o parantelach. Ojciec uczył Jankę sam i wychował starannie. Wśród zawieruch wojennych dał jej podstawy wykształcenia średniego, wystarczające by zdała maturę w improwizowanym gimnazjum w Wilnie o rok wcześniej niż wymagały przepisy. I gdy liczyła lat siedemnaście była pierwszą siostrą szpitala V armii, gdzie pułkownik chirurg Kozłowski specjalnie ją polubił za zapał i pracowitość. I za urodę też.

Janka była ładna nie tą urodą która spojrzenia mężczyzn zapala a zazdrość wzbudza u kobiet i nakazuje im krytykować współzawodniczkę, lecz wdziękiem co zniewala ludzi i wzbudza zaufanie i czułość i przyjaźń.

Była średniego wzrostu szatynką z rudym odcieniem włosów. Pod światło jej włosy nabierały głębokiej czerwieni a że były bujne i długie więc niespokojnie wymykały się spod kapelusza i nie poddawały się żadnej fryzurze. Wtedy opadały jej na ramiona tworząc ramę wokół twarzy.

Miała lekko wypukłe czoło i policzki z dołkami w nich gdy się uśmiechała. Oczy brązowe, duże, nakryte powiekami z lekka ciemnymi. Niewielki nos martwił ją zawsze gdy spojrzała w lustro. Ale rychło zapominała o tym i w uśmiechu rozchylała czerwone wargi pokazując białe zęby.

Szerokie ramiona nadawały jej chłopięcą figurę. Kostiumy leżały na niej dobrze. Nie zawstydzały jej opięte swetery czy bluzki, bo biust miała mały i w ogóle była szczupła choć na taką nie wyglądała.

Lubiła ubierać się sportowo, „po angielsku" jak mawiano. Unikała zbyt żywych kolorów a jedynie wkładała bluzki w żywe paski lub drobne rzuciki. Miała ich dużo ale niemal codziennie sama je prała i prasowała, dbając by zawsze były świeże. Tak samo jak dbała by jej pełne w swej okrągłości nogi były należycie obute. Kokieteria jej stroju leżała w prostocie i świeżości o co dbała więcej niż o nakazy mody.

Gdy była młodą dziewczyną, co wydawało jej się że było dawno, w rozruchach rewolucji, wśród przemian wojny i wypadków nabrała pewności że jest ładna. Ale okoliczności w których uświadomiła to sobie były dla niej nieprzyjemne bo łączyły się z drapieżnością zdemobilizowanych żołnierzy, którzy snuli się wszędzie przerażając ją i zawstydzając zachowaniem. Pamiętała ich spojrzenia, słowa i co gorsza gesty i odruchy przed którymi uciekała. Miała lat piętnaście, szesnaście i wreszcie siedemnaście gdy wróciwszy z ojcem do Polski zaraz po improwizowanej maturze, poszła do szpitala polowego i tam pracowała z całym zapałem.

Wtedy zaczęła rozkwitać jej spokojna uroda i spostrzegła że inne pielęgniarki nie lubiły jej za to że lubili ją żołnierze. Gdy chciała się na nich zemścić za dokuczania czy złośliwości codziennego życia, czyniła to przez uzyskiwanie wpływu na mężczyzn, co spostrzegła że przychodziło jej łatwo.

W salach gdzie inne siostry utrzymywały ostrą dyscyplinę ona rządziła wdziękiem i uśmiechem, stosując je na wpół świadomie. Pułkownik doktor Kozłowski lubił ją za szybkość i zręczność w podawaniu mu narzędzi podczas operacj. Przynajmniej tak twierdził. Siostry szeptały między sobą, że „stary Moch" jak go nazywały za jego rosyjską polszczyznę,

kochał się w Jance choć mógłby być jej dziadkiem. Janka sama nie, wiedziała ile w tym prawdy.

W każdym razie on był świadkiem na jej ślubie z Władziem. Ślubie który nastąpił tak szybko. Za szybko, za szybko, haczyk łapiesz rybko — powiedział jej dr. Kozłowski gdy oznajmiła mu że pułkownik pragnie ją poślubić. I nieraz potem Janka przyznawała mu rację.

Długie miesiące pielęgnowała rannego. Przywiązała się do niego. Jeśli żył, zawdzięczał to w dużej mierze jej. Zimę 1921 roku przespała przy jego łóżku siedząc w fotelu, czuła na każdy ruch, gest nieprzytomnego żołnierza. Była dumna że z każdą zmianą opatrunku powoli ustępował uraz mózgu i przekrwienie naczyń absorbowało się samo. Nieprzytomność zamieniała się w sen, gorączka opadała a puls wzrastał. A mimo że go myła, przebierała, że ręce jej wykonywały wszystkie posługi przy nim nie znała zupełnie jego ciała, nie zauważyła że leżał przed nią mężczyzna z szeroką klatką piersiową, z brzuchem sklepionym mięśniami, z ramionami które mimo całej choroby nie straciły swej prężności. Pamiętała że gdy po trzeciej operacji zmieniała mu krwawiący tampon na udzie kopnął ją silnie i że ucieszyła się tym że wraca mu moc. Ale nie zauważyła że leżał przed nią okaz młodości męskiej, nie zauważyła tego nawet wtedy gdy zauważyć to mogła w okresie wyraźnego powrotu jego sił.

Wreszcie zdjęli mu opatrunki a rany zabliźniały się. Przekrwienie mózgu ustąpiło, chory oprzytomniał i z tygodnia na tydzień zaczął przybierać na siłach.

Janka mogła nareszcie wyjść na ulice Torunia, czynić zakupy dla siebie czy dla niego, wyjść w niedzielę do kina z koleżankami, bez uczucia że jest niezastąpiona.

On spostrzegł że jest młoda, silna, urodna i wraz z wracającymi siłami zakochał się w niej. Całował jej ręce dziękując za każdą usługę, co ją coraz bardziej poczęło zawstydzać, zwłaszcza że zauważyła jego spojrzenia żywe i niespokojne.

Ale była do niego przywiązana a raczej była przywiązana do dzieła jakiego dokonała. Przywróciła go do życia i była zazdrosna o to czego dokonała. Niechętnie widziała gdy rekonwalescentem który wciąż jeszcze chodzić nie mógł bo kość prawego uda była naruszona kulą, opiekowały się inne siostry. Korzystała jak najmniej z dni wyjściowych, skracała chwile wolne nie chcąc dopuścić do niego nikogo innego, bo uważała go za swego, za swoją rzecz. A on brał to za miłość i zpragnął jej.

Był młody i niedoświadczony w uczuciach, choć zepsuty w romansach. Nie znał oporu u kobiet, bo jeśli która mu się opierała brał ją siłą. Gdy w Żytomierzu postanowił zdobyć towarzyszkę Sonię która była komisarką tamtejszego okręgu, Putyła-Soroka „namówił" ją by zgodziła się na pana pułkownika. I miał w owej Soni długi czas wrącą kochankę, aż wreszcie uciekła podobno do Paryża, z oficerem z misji francuskiej.

Janka to i owo wiedziała o nim, od niego samego, od Putyły który zjawił się w szpitalu, od pielęgniarek które od innych oficerów o Wolańskim słyszały, od siostry rannego która zjechała raz odwiedzić brata. Pani Zatowska (dziwne nazwisko — pomyślała Janka) mieszkała w Warszawie a była siostrą pułkownika, od pułkownika o lat kilka starszą. Zrobiła na Jance niesympatyczne wrażenie przez utlenione włosy, uróżowane policzki i słodkie perfumy. Opowiadała o domu rodzinnym Wolańskich na Ukrainie, o straconych pałacach i dobrach, co Janka wiedziała że było nieprawdą. Przecie sam pułkownik w przystępie szczerości wyznał jej że rodzice jego byli skromnymi ludźmi. Ojciec Wolańskiego był mechanikiem, specjalistą od maszyn cukrowniczych, a raczej specjalistą od kotłów i pieców, i utrzymywał się czyszcząc kotły i maszyny po cukrowniach Ukrainy.

Ale zapomniała o tym wszystkim co raziło ją u pani Zatowskiej gdy pułkownik zaczął przychodzić do zdrowia i gdy codziennie zaczęli go

odwiedzać przyjaciele i koledzy, generałowie i pułkownicy którzy wsławieni w bojach, żyli na wielkim świecie stolicy. Złożyło także wizytę Wolańskiemu kilku znakomitych polityków, a wraz z odręcznym pismem Naczelnik Państwa, zwycięski wódz owej wojny, nadesłał Wolańskiemu order Virtuti Militari. Jednego dnia któraś z gazet stołecznych rozpoczęła drukować wspomnienia wypadków sprzed dwóch lat na Ukrainie i nazwisko Wolańskiego niemal w każdym felietonie ukazywało się.

On sam zaś przychodząc do sił, nie dbał o sławę która spadła nań, o zaszczyty i pochwały, lecz wodził za Janką swymi czarnymi, zapalczywymi oczyma, żądając jej obecności. Gdy na tydzień wyjechała ze szpitala, zachorował czy udał że zachorował i musiała przerwać swój urlop. Zauważyła że pogorszenie nie było tak wielkie jak jej doniósł, że w ogóle była to przesada, nerwy, człowieka który tyle przeszedł. A swoją drogą była dumna że bez niej obejść się nie może.

Rychło wyznał jej miłość. Tak jak to on, gwałtownie, namiętnie, bezwzględnie. Gdy mu zaprzeczyła popadł w gniew, potem był nieszczęśliwy, potem zły, potem pokorny i biedny, aż wreszcie jej znowu z kolei zrobiło się żal. A równocześnie zależało jej na jego zdrowiu, na zdrowiu które należało do niej przecie i od niej, jak on powiedział.

Mógł wreszcie wyjść ze szpitala a ją stary ojciec wzywał by przyjechała do Wilna gdzie miała studiować na Uniwersytecie. Ale on jej nie pozwolił. Groził, że się zabije jeśli go opuści i Janka wierzyła że mówił szczerze. Zresztą nie było jej źle w jego towarzystwie. Czytała mu głośno literaturę którą lubiła a on słuchał wpatrzony w nią, co brała za zainteresowanie książką.

Wreszcie jednego dnia, była to niedziela po południu gdy byli sami w opustoszałym skrzydle szpitala porwał ją w ramiona. Janka nie przelękła się. Nie był to jej pierwszy pocałunek z mężczyzną, lecz pierwszy gdzie uczuła silny uścisk ramion i spostrzegła u siebie namiętność...

Zaręczyli się. Była przekonana że tak trzeba było zrobić, bo zawsze słyszała że wcześniej czy później małżeństwo będzie jej losem. On był straszliwie szczęśliwy, ona zadowolona jego szczęściem. Teraz jeszcze czulej nim się opiekowała i miała nie tylko obowiązek ale i prawo aby to czynić.

Wyjechali do Wilna do ojca. Profesor był chory, zmęczony i nie okazał radości z powodu tak ważnego kroku córki. Ale przyszłego zięcia przywitał serdecznie i zgodził się na rychły ślub. Janka nie była nawet pełnoletnia.

Wokół niej następował spokój po burzach, rewolucjach i wojnach. Kraj był wolny, zjednoczony i spełniły się marzenia o których od dziecka słyszała, spełniła się ta wiara w zmartwychwstanie którą matka jej przekazała. Dotychczas cokolwiek słyszała że działo się źle w Polsce była przekonana że sprawione zostało przez wrogów: Niemców i Moskali, i wierzyła że z chwilą odzyskania niepodległości skończą się wszystkie nieszczęscia. Dlatego dziwiła się trochę że spory nie cichną między Polakami, że rządy się zmieniają, że ludzie jedni przeciw drugim występują.

Pragnęła ciszy i spokoju, osobistego szczęścia jakie wierzyła że przyjdzie wraz z małżeństwem. Spory polityczne o których mówił jej mąż namiętnie występując przeciw wielu ludziom i rzeczom nudziły ją i męczyły.

Przygotowania do ślubu, wyprawa, wizyty z narzeczonym, ustalenie jego dalszego zawodu i kariery zajęły jej resztę roku. I troska o jego zdrowie które ciągle jeszcze nie dopisywało.

Ślub odbył się w Warszawie, cichy i skromny bo tak chciała Janka. Mąż dostał przydział sztabowy, poważne stanowisko organizacyjne w dowództwie kawalerii. Był znakomitym żołnierzem, jednym z najmłodszych pułkowników i posiadał pierwszorzędną opinię dzięki swym czynom bojowym.

Upłynął rok, dwa. Zmarł ojciec Janki, zaś jej małżeństwo nie było dobre, nie było szczęśliwe.

Tajemnica pożycia dwojga ludzi najtrudniejsza jest do poznania i przedstawienia. Tak było w pożyciu pułkownikowstwa, a fakt że małżeństwo się nie udało długo pozostał nieznany nawet najbliższym przyjaciołom Wolańskich. Bo Janka była skryta jak mówiły o niej znajome, a Wolański za dumny aby cokolwiek pokazać po sobie.

Jego miłość do Janki była gwałtowna tak jak jego charakter, wykształcony w walce, w ryzyku, w narzucaniu siłą swej woli. Po raz pierwszy w życiu zakochał się naprawdę w dziewczynie która była mu oddana, wierna, przyjazna i troskliwa — w dziewczynie która na życie patrzyła spokojniej od niego a na ludzi sceptyczniej. Brał u Janki za mądrość to co w rzeczywistości było u niej niezdecydowaniem. Był dumny z żony która się powszechnie podobała, a przede wszystkim podobała jemu.

Janka kochała go niewątpliwie. Lecz gdy on szukał jej miłości, gdy pytał o nią, była ostrożna, zamykała się w sobie. Okres narzeczeński przeraził ją nieco gwałtownością uczuć młodego pułkownika, jego namiętnością która ją żenowała. Dlatego on parł do ślubu, a i ona sądziła że tak będzie lepiej, gdy będzie mu zaślubiona w zgodzie z Bogiem i ludźmi.

Była dla niego czuła i dobra, wybaczała mu wszystko co ją raziło, jego nietakty i braki towarzyskie, poprawiała go i uczyła wielu rzeczy — lecz on tego niedoceniał. On chciał od niej tej samej skali uczuć, tej samej namiętności, ona chciała jego przyjaźni...

Nie wiedział czym jest czułość. Stać go było na gesty miłości zadziwiające w swej porywczości, na jazdy całonocne by przez dwie godziny zobaczyć Jankę, ale nie stać go było na napisanie do niej listu, czy choćby kartki. Raz gdy czuła się bardzo niedobrze musiała iść z nim do teatru, innym razem wyciągnął ją na bal do znajomych których bardzo nie lubiła. Obdarowywał ją prezentami kosztownymi które jej się nie podobały, mówił przy niej rzeczy których nie znosiła, spóźniał się zawsze na spotkania z nią i dziwił się potem że była zmęczona, czy że straciła humor.

Ale byłaby mu to wszystko darowała ostatecznie, byłaby się do tego wszystkiego przyzwyczaiła, gdyby nie to że mimo mieszkania z nim razem, mimo podróży poślubnej zachowała wstydliwość, której on zupełnie nie rozumiał. Nie wiedziała jak mu narzucić swą wolę, jak zmusić go do uznania drobnych lecz dla niej zasadniczych spraw codziennych, a tymczasem on narzucał jej swój sposób życia i pożycia, z gwałtownością która ją obrażała. Aż raz gdy śmiał się z niej zadowolony, rozgniewała się. Krzyknęła. To było wkrótce po ślubie.

On się przeląkł, przeprosił ale postępowania nie zmienił. Prosiła, błagała go by dał jej czułość, przyjaźń, że to dla niej oznacza przede wszystkim uczucie, że to jest miłość dla kobiety. Nie rozumiał, nie zwracał na to uwagi. Brał to za narowy Janki, które on okiełza.

Nie okiełzał ich, a w miarę jak pogłębiały się między nimi różnice, jak przestali dyskutować te sprawy między sobą bo żadno nie chciało ustąpić, zaczęli mieć własne, niezależne od siebie myśli, które taili przed sobą, obserwując się bacznie.

Był dobry i niedobry dla niej. Irytowało go że we wszystkim co dotyczyło poglądów na ludzi i rzeczy Janka powoływała się na autorytet ojca, a ona spostrzegłszy że go to irytuje nie przestała tego czynić. Wyraził się raz lekceważąco o teściu, ona się obraziła. A obraza jej była bolesna bo milczała pełna wyższości, bo podała mu zaciśnięte, zimne usta do pocałunku, wtedy gdy on był gotów na wszelkie ukorzenie się i poprawę.

I nagle, raz jak błysk, jak bolesne uderzenie przeszło mu przez myśl że jest mężczyzną który może się podobać kobietom, ale który kochany przez nie nie będzie nigdy. Nagle przypomniał sobie Sonię, najwyuzdańszą kochanicę i najwierniejszą niewolnicę która rzuciła go, by uciec z małym francuzikiem. I przeląkł się że Janka go nie kocha i wpadł w gniew.

Ona zamknęła się w swoim życiu. Coraz więcej czytała, nigdy (zwłaszcza po śmierci ojca) nie unosiła się, nie zapalała gniewem. Dbała o jego zdrowie nadal, pilnowała by jadł należycie, by nie pił, by nagrzewał nogę która od czasu do czasu bolała go i rwała. Ale nie zbliżała się do niego nigdy pierwsza.

Na zewnątrz była przyjemna, pogodna, uśmiechnięta. Ludzie byli przekonani że są szczęśliwym małżeństwem i że miłość ich jest ufna. On nie zdradzał się w niczym że wrzał, bo Janka swym wdziękiem i umiejętnością rozmowy dopomagała mu w karierze.

Wolański marzył o uczuciu. O tym ażeby być kochanym czule i namiętnie, by imponować żonie, by ona widziała w nim wszystko. Tymczasem nic nie było dalszego od tych marzeń.

Gniewała go jej bierność poza którą czuł nieuległy charakter. Imponował jej karierą, bo komużby to co zdziałał w życiu nie zaimponowało, ale ona nie pokazała po sobie niczego.

Miała nad nim przewagę, a on nie chciał tego uznać. W jego rozumieniu kobieta była stworzeniem gatunku niższego. Na taki stosunek patrzył w domu rodzinnym i tylko taki stosunek uważał za słuszny. Prawa kobiety do równości nie rozumiał.

Trudności rosły, pogłębiały się i nie podobna opisać tych błędów które obie strony popełniały. Faktem jest że w dwa lata po ślubie małżeństwo ich praktycznie przestało istnieć, bo Janka pod pretekstem bolów głowy i bezsenności urządziła sobie własny pokój. Wolański pokrył zrazu ten fakt kpinami, potem wybuchnął, potem zaciął się, odwrócił.

W tym czasie poznał Jolę Martysiakówną. Z początku był to flirt niewinny, ale rychło rzeczy zaszły daleko i Warszawa po kawiarniach, salonach i urzędach zaczęła plotkować na temat młodego pułkownika i głośnej aktorki.

Jola Martysiakówna przyjechała do stolicy z Poznania, w zespole „Różowego Wieczoru" jako tancereczka. Stamtąd zaangażowała ją wytwórnia Polfilmu nakręcając Balladynę wedle scenariuszu który ze Słowackim nie miał nic wspólnego. Różnie mówiono, czemu zawdzięczała powodzenie, faktem jest że gdy wystąpiła w Ślubach Panieńskich a potem w Pigmalionie zyskała powszechny poklask publiczności i recenzentów. Odtąd stała się gwiazdą warszawskich teatrów, kapryśną, nerwową ale zapewniającą każdej sztuce powodzenie.

I tak romans jej z Wolańskim urósł w publiczną tajemnicę o której powiedziała Jance pani Zatowska, siostra Wolańskiego.

Ta kochała Jankę namiętnie bez wzajemności. Starsza dobrze od niej (brat twierdził o niej że przekroczyła czterdziestkę) była żoną Hipolita Zatowskiego, przemysłowca, właściciela wielkiej farbiarni Kolor oraz prezesa syndykatu chemicznego. Zatowscy podobno pochodzili z żydów, ale uwierzyć w to było trudno bo Zatowski nosił się „z polska", miał sumiasty wąs i gadał językiem szlacheckim, pełnym swobody i zwrotów wiejskich. Niktby nie przypuścił że ten dobrotliwie wyglądający, zażywny pan, jest jednym z najbogatszych businessmenów polskich który skupywał fabryki, udziały, tereny. Jego żona nigdy nic nie wiedziała o operacjach męża, zajęta życiem towarzyskim.

Ona pierwsza spostrzegła że pożycie Władziów jest nienaturalne, nienormalne. I ona pierwsza intuicją kobiecą wiedziona doszła prawdy:

— Ty Janeczko, niepotrzebnie wychodziłaś za niego zamąż, bo on chciał szałów, a ty przyjaźni. Nie dobraliście się. Rzuć go...

Janka nie mogła nie lubić Zatowskiej, tyle doznawała od niej przyjaźni i wyrozumienia. Jeżeli pewnego dnia Zatowska powiedziała jej ową nieprzyjemną prawdę to dlatego że Janka prosiła ją o to. Od jakiegoś czasu Władzio się zmienił. Zauważyła że przestał przychodzić wcześnie do domu, wyciągać ją do kina czy do znajomych. Zauważyła wreszcie że przestał na nią zwracać uwagę, że nie szukał jej towarzystwa.

Z początku przyjęła to z ulgą. Od ostatniej brutalnej sceny, gdy żądał jej miłości, przestała go kochać, przestała czuć nawet przywiązanie dla niego. Ona sama rzuciła mu radę by szedł i szukał zaspokojenia swych zmysłów z ulicznicami, ale że ona nigdy taką dla niego nie będzie... Rzuciła mu ową uwagę ostro, bezwzględnie, tak jak potrafiła to czynić, czując swą wyższość nad nim.

Więc rozeszli się na dobre a przed tygodniem bratowa powiedziała jej prawdę. I gdy Janka usłyszała szczegóły tego romansu (spotkania w mieszkaniu Joli, kolacje w Europejskim...) reakcja jej była jeszcze obojętniejsza niż zazwyczaj. Zatowska dziwiła się temu, a równocześnie była olśniona. Ona sama w podobnych okolicznościach (mimo iż dobrze wiedziała iż męża na „wielkie szały" nie stać) zachowywała się zupełnie inaczej.

Wreszcie dzisiaj Władzio zdecydował się powiedzieć jej wszystko. Od dawna przygotowywał ją na to. Zostawił raz na wierzchu list miłosny Joli, Janka udała że go nie widziała, raz drugi i trzeci telefonował głośno z przedpokoju, Janka poszła wtedy na koniec mieszkania.

Bolało jej ambicję że mąż ją porzucił. Ale o wiele bardziej bawiła ją sytuacja, w której on na wszystkie sposoby starał się sprowokować jej zazdrość, a ona na to nie szła.

Aż wreszcie dzisiaj wybuchnął. Brutalną awanturą gdy spytała go o której wróci do domu i czy będą jedli razem kolację. Rozgniewał się, zaczął od aluzji że on nie ma domu i żony, że nie ma gdzie wracać a potem wręcz przeszedł do oskarżeń i wreszcie wyznał że ma romans i że ta osoba (nazwiska nie wymienił) kocha go i że chce się z nią żenić.

Czekał na reakcję Janki, ale ona stała nieporuszona. Patrzyła na niego swymi dużymi oczyma i oświadczyła mu że może starać się o unieważnienie małżeństwa czy o rozwód i że ona nie będzie mu robić przeszkód... Spytała go czy chce aby natychmiast się rozeszli, czy chce aby wyjechała tego samego dnia jeszcze, czy może on zechce opuścić dom?

Była wyraźnie silniejsza od niego. Więc zaczął się prosić, błagać aby mu przebaczyła, uczuł się winnym. Skomlał, płakał, histeryzował. Jeszcze wstrętniejszym się jej wydał, jeszcze bardziej obcym.

Janka nie znosiła scen. Dlatego i teraz jego rozpacz udana czy prawdziwa nie była w stanie jej poruszyć. Odeszła do swego pokoju. Zostawiła go samego, rzucając mu z uśmiechem:

— A nie zapomnij że masz dzisiaj po południu nagrzewanie nogi. Znowu będzie cię boleć, boś kuracji zaniedbał.

Obrażony, wściekły, podniecony Wolański wyleciał z domu, pobiegł do adwokata z którym już wcześniej się naradzał i telefonował potem do żony że wniesie sprawę separacyjną i rozwodową. Oświadczył jej sucho że do domu nie wróci i prosił aby spakowała mu jego rzeczy po które przyśle nazajutrz.

To było w południe. Janka wzięła się natychmiast do pakowania jego ubrań i osobistych drobiazgów i przygotowała kuferki w przedpokoju. Wydała służącej odpowiednie polecenia a sama wyszła z domu. *D. c. n.*



ZOFIA NAŁKOWSKA

DWOJRA ZIELONA

Nieduża kobieta z czarną przepaską na oku stanęła przy ladzie. Jej równie drobny i cokolwiek dziwny towarzysz z czarnymi wąsikami zażądał dla niej okularów.

Przez parę lat ta pani nie nosiła okularów — powiedział znacząco i życzliwie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że była w obozie.

Co do oka, to okazało się, że jest nie odpowiednie. Jest za duże i nie chce wejść. A po okulary trzeba jeszcze przyjść nazajutrz.

— Czy nie zechciałaby pani ze mną porozmawiać? Moglibyśmy wstąpić tu obok do cukierni.

Zdziwiła się. Nie mogła iść do cukierni. Była zajęta. Musiała wracać do mieszkania, gdyż jest zamknięte, a klucz ma ona ze sobą. Do mieszkania, gdzie właśnie od dwóch dni znalazła zajęcie.

Idziemy tedy razem przez szeroką ulicę Pragi i ciemną bramą przenikamy w podwórze wielkiej rudery o brudnych, poczerniałych ścianach z poodbijanym tynkiem. Głęboko w rogu, za oblazłymi z brunatnej farby drzwiami zaczyna się mroczna sień.

— To jest na trzecim pietrze.

U wejścia na trzecią kondygnację stoimy chwilę przy oknie. Patrzymy w wielkie, odrapane, ciemne i brudne podwórze.

— Jakie pani ma zajęcie?

— Sprzątam i pilnuję mieszkania. Bo tam będzie żydowskie ambulatorium.

— Więc znalazła pani swoich ludzi? Ma pani opiekę i przyjaciół?

— Jestem sama — odpowiada spiesznie. — Jestem sama — powtarza jeszcze raz.

— Jednak ten pan, który odszedł, kupował dla pani okulary. I oko.

Na to z trudem przystała.

— Owszem kupią mi oko. I nawet chcą wstawić zęby. — Zawahała się i ciężko wyznała: — Ale to nie jest rodzina.

Idziemy już ostatnią kondygnacją i znów wracamy równym pomostem, obwiedzionym drewnianą poręczą. W miejscu, gdzie na niższych piętrach są okna, na trzecim otwierają się wypełzłe, chwiejne drzwi szklane. W drodze na napowietrzny ganek drewniany z poręczą, uczepiony muru, trzeszczący nad próżnią.

Zatrzymujemy się przy trzecich z kolei drzwiach, zamkniętych jak gdyby na okiennice.

— To tutaj — powiada.

Wyjmuje klucz i otwiera wetkniętą w skoble olbrzymią kłódkę. Drzwi otwierają się na rozległe puste mieszkanie. Jeden pusty, ponury pokój, z umytą podłogą, drugi też wysprzątany, z niskim pod ścianą, legowiskiem. W trzecim stół pod ścianą, jedno i drugie krzesło.

— O tutaj możemy rozmawiać. Niech pani siądzie.

Siadamy naprzeciwko siebie przy rogu tego stołu.

— Oni są dobrzy. Ale to nie jest rodzina — powtarza. — Nie ma nikogo. Mój mąż jest zabity w roku 43-im na stacji Małaszewicze, 8 kilometrów pod Brześciem Litewskim. W lagrze. Zabitych było tysiące, bo zabijali tak co dziesiątego, zabijali co parę dni. Nie, sama tego nie widziałam, ale o tym słyszałam. Bo tam nie byłam, byłam w Międzyrzeczu. I jedno wiem, że w 42-im roku mój mąż był jeszcze żywy. Bo wtedy lotnik niemiecki wziął list do męża i była na ten list odpowiedź, że mój mąż się kłania. A później dowiedziałam się, że jest zabity.

Wstała i wpuściła ludzi, którzy przyszli naprawiać w kuchni zlew.

— Mam trzydzieści pięć lat, tylko że tak wyglądam. Nie mam zębów, nie mam oka...

Wyszła zamaż mając dwadzieścia trzy lata. Mieszkali w Warszawie przy ulicy Solnej. Ona pracowała w fabryce, robiła na maszynie wełniane rękawiczki, on był szewcem. Naprzód też pracował w fabryce, później robił buty w domu. Owszem było im dosyć ciężko. — Dzieci nie mieli.

— Mąż się nazywał Rajszer, ale ja się nazywam Zielona. Bo nie miałam papierów i zapisali mi nazwisko ojca.

Po chwili zastanowienia dodała jeszcze:

— A na imię mam Dwojra.

W roku 39-ym bomby rozwaliły dom na Stawkach. Stracili wszystko — rzeczy, ubranie. I przenieśli się do Janowa Podlaskiego.

Westchnęła.

— Tam już nosiliśmy żółty trójąt, osiem takich szpicy, palestyński znak. A dopiero później nosiliśmy opaski. Oboje.

W październiku 42-go roku już męża nie było, bo pracował w tym lagrze Małoszewicze... Wtedy całe miasto Janów Podlaski, wysiedlili do Międzyrzecza. To był taki *Judenstadt*, tam byli wszyscy żydzi z lubelskiego Województwa. Co dwa tygodnie wywozili ludzi do Treblinki koleją. Ta reszta, co została, była zamknięta w ghettcie. Inni ginęli, ona nie.

— Jak była akcja, to ja się zawsze schowałam. Siedziałam na strychu.

Rozpostartymi palcami obu rąk przesłoniła swą twarz. I patrzyła chwilę jednym okiem przez szpary między pąlcami.

— Czy to znaczy, że pani zakrywała sobie twarz rękami?

Uśmiechnęła się. — Gdzietam. Ja tylko pokazuję pani, że się tak zawsze chowałam.

Siedziała na strychu i myślała: „Teraz żyję, a za godzinę nie wiem co będzie". Ale inni ginęli a ona nie.

— Raz się tak chowałam jak była akcja przez całe cztery tygodnie. Bez jedzenia.

To także jak te rozczapierzone palce na twarzy, należało rozumieć w pewnym sensie metaforycznie.

— No, wzięłam parę cebulki i miałam tam manne kasze, więc to jadłam. Nie, nie gotowane. Skąd! Nie było przecież wody. Miałam też trochę kawy mielonej, zbożowej, to także jadłam surową tę kawę. Nic mnie nie bolało. Myślałam: umrę. Byłam taka osłabła. Byłam sama jedna na świecie.

Raz usłyszałam, że był ruch na ulicy. Było to w grudniu 42-go roku. Usłyszałam ruch, to wiedziałam, że już placówki nie pilnują. Więc zeszłam. Po akcji można było znowu chodzić we środku między drutami. Owszem była jeszcze gmina żydowska. Oni dawali trochę chleba. Ale nie było ważne to całe życie nasze.

Miałam kilka koszuli, to sprzedawałam i kupiłam sobie chleb na jutro, na pojutrze.

Oko straciłam pierwszego stycznia 43-go roku. Była taka zabawa u Niemców, oni się bawili w Sylwestra. Zastrzelili 65 ludzi. Z mojego domu to ja jedna zostałam, że jeszcze żyję. Strzelali na ulicy, na śniegu, o szóstej rano. Wchodzili do mieszkań. To ja chciałam uciekać, wyskoczyłam przez okno. Myślałam, że się zabiłam. I dostałam strzał w oko.

Jak do mnie strzelali, to tak czułam: „a może jeszcze żyję".

Zniżyła głos, nówiła poufnie:

— Pani powiem: ja chciałam żyć. Nie wiem, bo nie miałam męża, ani rodziców ani nikogo i chciałam żyć. Oka nie małam, byłam głodna i chłodna — i chciałam żyć. Dlaczego? To pani powiem: po to żeby powiedzieć wszystko tak, jak pani teraz mówię. Niech świat o tym wie, co oni robili.

— Myślałam, że będę żyła tylko ja jedna. Myślalam, że nie będzie na świecie ani jednego żyda...

Zabrali mnie do szpitala. W oku nic nie czułam, tylko mnie więcej bolało tutaj: Krzyż i nogi. Od stłuczenia. To mówiłam: „Dajcie mnie noża". Bo chciałam zrobić z sobą koniec. Już nie mogłam żyć. Oka nie miałam, nic nie miałam. Oko wypłynęło całe. Na uchu też miałam ranę. Mieli mnie prześwietlić. Ale samo się zagoiło.

Jak już resztę nas zabrali, to już się nie chowałam. I sama poszłam za naszymi do tego Majdanka.

Grosza nie mam, jedzenia nie mam, oka nie mam. Żydów nie ma — to co miałam robić sama na tym strychu? Kawałek chleba już też nie miałam. Jak mam umrzeć, to wolałam umrzeć razem z nimi, nie sama.

No to poszłam do Majdanka. Tam dawali chleba bardzo mało. Tylko 40 deka. I trochę zupy o 12-ej.

Czyśmy sobie wzajemnie pomagali? Bo ja wiem. Trochęśmy pomagali. Ale nie dużo. Ach, pani wie, każdy ma swój kłopot: co może zrobić? Co dwa tygodnie była selekcja, taka przebierka. Co można zrobić?

Czy mnie bili? Owszem: Raz w Majdanku SS-manka Brygida — to ona mnie zbiła. Czym? Kija miała. Dostałam od niej po głowie. A za co?

Śmieje się z politowaniem.

— Bo ona tak chciała, nic więcej.

Wszystkie wtedy dostały. Bo jedna kapowa, taka fuhrabtarina powiedziała o jednej z nas, że ona robi geszeft. Że coś kupuje. I za tę jedną wszystkie dostały. Ale czy ona robiła geszeft? Nie wiem.

Uciec nie można było. Jedna panienka uciekła. To ją złapali i powiesili. Taki tam stał słup i hak... Było nas z dziesięć tysięcy na placu i musieliśmy wszystkie na to patrzeć.

— Była spokojna, bardzo spokojna. — SS-man spytał się, co ona chce przed śmiercią. A ona powiedziała: „Nic, nic, prędzej zrób, co chcesz". Dwadzieścia lat miała, była delikatna.

Byli też dwaj bracia. Oni się później sami powiesili.

Wstała żeby wypuścić robotników, którzy już skończyli swoją pracę. Ale wróciła zaraz i usiadła na swym miejscu.

— Raz przyszedł SS-man ze Skarżyska Kamienna, szef Imfling. Powiedział: „Kto chce pracować, to pojedzie do pracy". Umiałam pracować to pojechałam. To była fabryka amunicji.

Tam nie dostałam bicia ani razu. Ale tam też co raz była selekcja, jak już kto raz był w szpitalu, to go zabili. Kto miał zwolnienie od pracy, choćby parę dni przestał robić — już go zabili.

Ja miałam tylko jedno oko i zrobił mi się na tym oku taki jęczmień, jak wrzód. No to byłam ślepa. Ale pracowałam, żadnego dnia nie opuściłam, po dwanaście godzin. Tydzień przez dzień, tydzień przez noc. I widzi pani, nie uwolniłam się, nie poszłam do doktora. Bałam się. Bo to była śmierć. Myślałam, że może przeżyję i tak, a może...

Uśmiechnęła się nieśmiało i wstydliwie.

— Widać znowu chciałam żyć.

Jeszcze coś sobie przypomniała.

— Teraz pani powiem jak było z zębami.

Kiedy przyszłam do Skarżyska Kamienna, tam dawali tylko trochę zupy. To byłam strasznie głodna.

Można było jedzenie kupić od robotników, którzy przychodzili pracować z miasta. Czasami sami coś dawali, ale prędzej trzeba było kupić. A ja nie miałam pieniędzy. To sama wyrwałam sobie złote zęby.

Czy wyrwałam sznurkiem? Nie. Tylko przez kilka dni ruszałam, ruszałam. Jak się dobrze ruszał, to już łatwo dał się wyrwać. Sam wyszedł. Za jeden ząb dostałam osiemdziesiąt albo osiemdziesiąt pięć złotych. I kupiłam sobie dosyć chleba.

Trzynaście miesięcy tak robiłam w Skarżysku. Jak się Ruski przybliżył do Skarżyska, to Niemcy całą fabrykę z nami przenieśli do Częstochowy. I tam była znowu taka sama robota.

Siedemnastego stycznia przyszli Sowieci. SS-mani uciekli szesnastego. W Częstochowie było 15.000 Żydów. Zostało 5.000, resztę powieźli do Niemiec, kolejami. Nic na to nie można było zrobić. Były takie zapisy. Majster zapisywał i ludzi według zapisu brali.

Majstrzy nas pilnowali. Żeby jeszcze parę godzin Sowieci nie przyszli, byłoby po nas.

Byliśmy już ustawieni na ulicy. Ale Sowieci przyszli i majstrzy uciekli.

Czyśmy się ucieszyli, jak przyszli? Tak, cieszyliśmy się bardzo. Bośmy już byli za drutami, bośmy byli wolni. Witaliśmy ich, aleśmy ani nie krzyczeli ani nic.

Westchnęła.

— Nie mieliśmy siły.

ANTONI SŁONIMSKI

PODROŻ

Pierwszej nocy w Warszawie w „Hotelu Centralnym"
Na zapoconych szybach świt się już był rozlał malinowy,
Gdy mnie obudził sąsiad chrapiący na sienniku obok.
Huknął gdzieś od Grójeckiej strzał karabinowy,
Pijany gość pod oknem krzyczał, że jest majorem.
K... twoja — krzyczał — k... twoja mać...
Byłem w ojczyźnie.
Zimno tak pod oknem stać. Ubrałem się szybko,
Nie myjąc się, nieogolony, macając tchórzliwie
Portfel na piersiach, z londyńską Identity Card,
Wyszedłem gnany tęsknotą i ciekawością
Na miasto, w którym przeżyłem ogromny sen młodości.
Wrócił sen i trwał. Tak samo jak wtedy
W ciemnej ulicy furmanki zaturkotały po bruku.
Młodzieniec w długich butach przed wejściem do „Astorji"
Bełkotał: lubelsko-żydowsko-żymirsko-szeptycki...
Samolot z Hendon skreślił ćwierćwiecze historji.
By wylądować zemną w ojczyźnie mojej azjopoetyckiej,
Sercu drogiej. I tak oto spotkałem
Młodość straconą i miasto, którego już niema.

Szedłem śladami ulic. Na środku Traugutta
Nóg moich czepiały się osty i rozrosłe zioła,
Dziką łąką przeszedłem na piętro do Turka,
Gdzie przy stole okrągłym zmarli przyjaciele
Nie dostrzegali moich rozpaczliwych gestów,
Kiedy głosu nie mogłem dobyć i krzyknąć, że jestem.
Tylko kelner mnie poznał (bo takie jest prawo snu)
„Oczom własnym nie wierzę — pan redaktor tu?"
— „Z Londynu" — chciałem powiedzieć, ale się zlękłem, że minie
Sen i cóż wtedy uczynię?

Sen trwał. Poznałem drzewko uschniętej akacji,
Szyby zbite i ciemne wagony na stacji.
Noc podstępnie ukryła wnętrza wypalonych domów:
Rwą serca te widma ulic, kłamliwe fasady.
I ciebie ciemność złudna ukryła tak samo,
I skronie wygładziła i łez starła ślady,
Gdym setny raz „dobranoc" mówił ci pod bramą.

Rozstąpiły się z szumem czarne wody Lety,
Wiatr ciepły bił i targał twą suknię niemodną,
Wirowała gwiazdami noc straszna jak młodość poety.
Falą bujną przypływu, wszystko co dawno już zmarło,
Wraca, jak ja wróciłem, jak pies co się odnalazł,
Skacze na mnie, uderza, łzami dławi gardło.
Uciekać trzeba raczej niż dać się obudzić.
Nie ma drogi ucieczki. Nie ma ucieczki od ludzi.

Z Hendon do Croydon leciałem dwadzieścia pięć lat.
I znów patrzę w kominek płonący w domu na Hannover Terrace,
Gdzie starzec umierający pisze ręką ognistą
Mane, Tekel, Fares na kłębowisku dymu,
Co wyszedł z pieców w Belsen i z krematorji
I rozrósł się grzybem chmur kumulusowych
Nad istniejącym niegdyś miastem Hiroszima.
I tak się kończy ten młodzieńczy lot,
Tak się zamyka wieku ćwierć.
Idę po mglistej Loudoun Road —
W ciszę, w zadumę, w śmierć.

STEFAN THEMERSON

BAYAMUS

I.

THEATRUM ANATOMICUM

— A teraz co chciałbyś zobaczyć, Teatr Anatomiczny czy Teatr Poezji Semantycznej? — spytał.

— Oba — ja na to.

— Dobrze, — on na to — ale Teatr Anatomiczny jest w 1815-ym.

— To nie szkodzi.

— W takim razie O.K., — rzekł — chodźmy.

I poszliśmy do Teatru Anatomicznego.

Teatr Anatomiczny to było pomieszczenie oddzielone od innych pomieszczeń i korytarzy za pomocą jednej tylko ściany, biegnącej wokoło i sięgającej od podłogi do sufitu. Sufit miał kształt półkuli, podłoga zaś składała się z okrągłej płaszczyzny (po środku) i z otaczających ją czterema kręgami platform, wznoszących się stopień po stopniu. Każda z tych platform opatrzona była barierą, wspartą na pionowych, czarno i biało malowanych prętach. Na najwyższej platformie znajdował się młody człowiek, którego tułów i członki rozmieszczone były w ten sposób, że ciężar całego ciała był zrównoważony i spoczywał na stopach, przy czym nogi były wyprostowane w kolanach, grzbiet nieco w tył odchylony od pionu, głowa zaś wzniesiona. Obie jego ręce spoczywały na barierze, w prawej jednak trzymał czarny sztywny cylindryczny kapelusz, którego wewnętrzna powierzchnia wyłożona była żółtą połyskującą tkaniną, składającą się z regularnie przetykanych nici, skręconych z cienkiego mocnego przędziwa, wytworzonego — w celu uformowania kokonów — przez gąsienicę mola *Bombyx mori*.

W kole, po środku podłogi, był stół. Dwa stały na nim obszerne i przezroczyste naczynia. Pierwsze zawierało dwie istoty ludzkie, młode i połączone ze sobą za pomocą wiązadła mięsnego. Drugie: zwykły płód płci żeńskiej, w późnym stadium rozwoju.

Ta część sufitu, która znajdowała się bezpośrednio nad stołem, zbudowana była za pomocą umieszczenia w odpowiednich pozycjach 100 przezroczystych arkuszy twardej łamliwej substancji, sporządzonej przez stopienie różnorodnych krzemianów z innymi materiałami.

Między stołem i tą właśnie przezroczystą częścią półkulistego sufitu, mniej więcej w połowie wysokości, na grubym, mocnym, z włókien lnu skręconym sznurze, wisiał szkielet kostny człowieka, z którego wszystkie miękkie tkanki odgniły czy też zostały usunięte.

Sznur wyciągnięty był pionowo w górę, po czym przechodził przez wyżłobienie w obwodzie małego kółka, zawartego w bloku, który przymocowany był do samego środka przezroczystej części półkulistego sufitu. Drugi koniec sznura nawinięty był na niewielki drewniany bębenek, opatrzony krótką korbką, i przymocowany do pilastra, obok drzwi.

Człowiek w białych spodniach, niebieskiej marynarce i żółtym plastronie pod szyją, ukazał się w framudze drzwi. Ujął korbkę i zaczął ją obracać. Gruby, mocny, z włókien lnu skręcony sznur odwijał się z bębenka, przechodził przez wyżłobienie w obwodzie małego kółka, zawartego w bloku przymocowanym do samego środka przezroczystej części półkulistego sufitu, i szkielet kostny człowieka, z którego wszystkie miękkie tkanki odgniły albo też były usunięte, przesuwał się powoli przez przestrzeń, w dół, aż do poziomu stołu.

— Zadowolony jesteś? — spytał Bayamus.

Spojrzałem na szkielet. Piękna to była robota.

— Tak, — powiedziałem. — Bardzo jestem zadowolony!

— To dobrze, — on na to. — Bardzo się cieszę, że ci się podoba, — on na to. — A teraz, chodźmy do Teatru Poezji Semantycznej.

II.

MARTWA NATURA Z CZARNYM BUTEM

Droga jaką obraliśmy, żeby z Teatru Anatomicznego pójść do Teatru Poezji Semantycznej, była całkowicie zurbanizowana. *Zurbanizowana* znaczy tu nie to, że była zaplanowana tak, aby racjonalnie spełniać funkcję miejskiej ulicy, a, po prostu, że nie było w niej ani śladu wsi. Nigdzie nie było linii na której zwykły się stykać niebo i powierzchnia ziemi. Nie było bowiem śladu nieba w górze, ani śladu ziemi na dole. Pod stopą — mieszanina pewnego rodzaju niepalnej smoły, piasku, żwiru i td.; nad głową — strop wsparty na niekończących się szeregach łuków, pionowe ciśnienie sklepienia przenoszących poziomo na mury, co można by wziąć za dowód na to, iż umysł architekta funkcjonował do tego stopnia wadliwie, że aż czynił go niezdolnym do racjonalnego wysnuwania wniosków i racjonalnego działania, albowiem cała ta budowla uczyniona była nie z kamieni albo z cegieł spojonych mieszaniną wapna, piasku i wody, lecz z betonu wzmocnionego wstawkami żelaznymi, co powinno narzucać nową formę architektoniczną zamiast tego zmuszania żelazobetonu do małpowania stylu budownictwa z XII wieku.

Nieco dalej nie było już nic z architektury XII wieku. Masa dobrze utartego wapna, piasku i wody, z domieszką włosów dla spoistości, plastyczna przedtem, lecz twarda jak kamień od czasu gdy wyschła, udawała tu marmur żłobkowanej kolumny, uwieńczonej kapitelem, ozdobionym czterema wolutami porządku jońskiego.

— Znasz tego jegomościa? — spytał Bayamus. — Kiwa na ciebie.

Niedaleko kolumny jońskiej, przy jednym z mebli należących do Cafe Royal (Regent Street, W.1), a składających się z płaszczyzny drewnianej, podtrzymywanej przez cztery nogi, i służącej do tego żeby jeść przy niej, siedział Karl Mayer; stary, niski, drobny, białowłosy Karl Mayer, autor scenariusza ekspresjonistycznego filmu *Gabinet Dra Caligari.* Widok jego zaskoczył mnie i zdumiał. Wiedziałem, że umarł był w r. 1943. To

prawda że nie byłem na jego pogrzebie, ale czytałem o jego śmierci w którejś z gazet: *ŚMIERĆ CZŁOWIEKA KTÓRY WOZIŁ APARAT FILMOWY W WÓZKU DZIECINNYM.* I oto on, teraz, tutaj, wesoło kiwając na nas.

— Drodzy przyjaciele, — rzekł, kiedy podeszliśmy do niego. Czekam na was!

I zgarniając stosy papierów, tygodników i fotosów z długiej ławki, pokrytej czarną skórą, zaprosił nas byśmy usiedli.

— Jak się pan miewa? — spytałem — Czy wciąż jest pan tak zapracowany?

Wiedziałem że w 1943, krótko przed śmiercią, dostał nareszcie w πStudios pracę superwizora przy pewnym procesie, polegającym na zamianie surowca, składającego się z uczulonych na światło błon, w ekonomicznie przydatny i na sprzedaż nadający się towar, mianowicie: obraz (szerokość: 35 mm., długość: 2.000.000 mm.), dostosowany do tego by być przedmiotem transakcji handlowej.

— O, tak, mój drogi przyjacielu! Co rano o ósmej jestem już w pociągu! — i powiewając tą częścią swego ciała która tworząc zakończenie przedramienia, poniżej przeguba, składała się z białą skórą obciągniętej dłoni, knykciów i palców, zawołał: — Waiter!

I kiedy Philippe Guibillon (né 1889 à Bordeaux, 1925 British nationality, poprzednie obywatelstwo: francuskie, żonaty, troje dzieci: syn, F/lt. R.A.F.; drugi syn, w sanatorium dla gruźlików; córka, studia ekonomii w Cambridge) zjawił się, Karl Mayer zamówił:

— Proszę jeszcze kawy, dla moich przyjaciół, i papierosów, 555 *State Express.*

Wiedziałem, że leżał w szpitalu, ale to było jeszcze przedtem nim dostał pracę w πStudios. Stan jego zdrowia bardzo mizerny był w owym czasie, środki utrzymania zaś zbyt skromne by mógł sobie pozwolić na życie w wygodzie czy dostatku.

— A jak pan ze zdrowiem teraz? — spytałem.

— Oh, mój drogi przyjacielu, moje zdrowie sięga właśnie najwyższego stopnia doskonałości, — powiedział, nadając swym rysom wyraz podobny nieco do tego, w jaki twarz zwykła układać się przy śmiechu. Śmiechowi temu nie towarzyszył jednak szereg krótkich, głośnych, przerywanych wydechów, i blade wąskie wargi Karla Mayera były ściśnięte, lekko tylko w kącikach unosząc się ku górze, mięśnie twarzy zaś, zwłaszcza te wokół jego czarnych błyszczących oczu, zwolnione.

Wciąż jednak miałem przed oczyma ową gazetę z tytułem informującym o śmierci Karla Mayera.

— Czy można pana spytać o coś... — zacząłem nieśmiało.

— Oczywiście, drogi przyjacielu, — odrzekł.

— Czy to, — zacząłem—czy to prawda, że pan woził aparat w wózku dziecinnym?

— Naturalnie że prawda, mój drogi przyjacielu, — odrzekł. — Czy jest gdzieś na świecie ambitny niezależny młody filmowiec który by nie robił takich rzeczy? A pan sam?

— Owszem, — odpowiedziałem, pochlebiony trochę, jak gdyby te słowa „ambitny, niezależny" odnosiły się do mnie także. — Przed laty panoramowałem aparatem ustawionym na kręconym fortepianowym taburecie, który miał rysunek głowy Mozarta wypalony na siedzeniu; i jechałem aparatem w górę i w dół, mocując go do stalug malarskich mojej żony, i kręcąc klatka po klatce.

— No więc sam pan widzi, mój drogi przyjacielu, — rzekł Karl Mayer. I po krótkiej chwili dodał: — Kiedy ja zaczynałem moją kinematografię, nie było jeszcze ani jednego kinowca, mam na myśli: ani jednego z tych co się liczą, ani jednego twórcy, który by już był umarł. Wszyscy byli młode facety!

Palcami, tak pergaminowo białymi, że zdawało się iż pozwalają promieniom świetlnym przenikać skórę i tkankę i kość, przeczesał swe siwe włosy:

— A wie pan, mój drogi przyjacielu, że ja pierwszy zacząłem klaskać na pokazie pańskiego filmu? Cenkalskiego film także ja pierwszy zacząłem oklaskiwać. Proszę, niech mu pan to powie jak go pan zobaczy, dobrze?

— Chętnie, — odpowiedziałem. — A wie pan, że...

Przerwał mi jednak:

— Niech mu pan to powie, dobrze? Proszę!

— Naturalnie, powiem mu, — ja na to.

A wtedy on:

— Ale ja panu przerwałem, drogi przyjacielu. Pan zaczął był coś mówić.

— Tak, —odrzekłem— przypomniało mi się właśnie, że wiele lat temu, na prywatnym pokazie w Warszawie, Cenkalski i ja pierwsi zaczęliśmy oklaskiwać pana film, *Gabinet Dra Caligari.*

— To nadzwyczajne! — powiedział Karl Mayer — Na ogół artysta odczuwa bardzo boleśnie jeśli nikt nie przełamie ciszy, kiedy słowo *The End* pojawia się na ekranie.

— Mnie to nic a nic nie szkodzi! — odezwał się nagle Kurt Schwitters, który właśnie przed chwilą zjawił się obok naszego stołu, Kurt Schwitters, *dada*ista i wynalazca Merz Art. — Ja przyzwyczajony jestem do tego. Publiczność zawsze wyje, kiedy recytuję *dada.* Niech. Nic nie mam przeciw temu!

— Wycie jest lepsze od ciszy, — rzekł Karl Mayer — a często nawet lepsze od brawa.

Wciąż miałem w pamięci oklaski i wycia jakie przerywały pokaz mego pierwszego, tak zwanego awangardowego filmu. Na pewno wolałem to, niż ciszę, ale za mną, w kinie, siedział jakiś jegomość i krzyczał raz po raz: „Niech ciocia nie klaszcze!" Ani jednej z mych ciotek nie było wtedy w kinie, bardzo byłem nieszczęśliwy jednak, ponieważ była tam moja matka i wiedziałem że na pewno klaskała. To wszystko należy jednak do przeszłości.

Jest rzeczą zadziwiającą, jak ludzie potrafią cierpieć z powodu braku aplauzu. Znałem aktora, którego nigdy nie urzeczywistnionym marzeniem było zagrać Hamleta, a który potrafił wyczyniać na scenie biedne, idiotyczne błazenday, aby zdobyć oklask; znałem tancerza z baletu Diagilewa, który ręcznik zwinięty wkładał pod swój trykot, aby odebrać nazajutrz setkę listów od seksualnie wrażliwych mieszkanek Brukseli; znałem malarza wiecznie głodnego, wiecznie spragnionego jednego słowa uznania; a ojciec mój umarł po przeczytaniu w prowincjonalnym piśmie irytującej, ostrej, nieprzychylnej recenzji z jego powieści.

Organizmu mojego naturalna, odruchowa dążność do postępowania w sposób służący zachowaniu gatunku, zwalczała była właśnie pewną myśl, która mi przyszła do głowy, mianowicie że dla ojca mego lepiej iż umarł w roku 1930 nie zaś 10 lat później, w tym wypadku bowiem cięższe, straszniejsze byłyby ostatnie chwile jego życia, — gdy Karl Mayer uniósł swą nogę i, pomagając sobie rękoma, położył ją na białym, cienko tkanym kawałku płótna, którym przykryty był stół Café Royal. Niezwykły to był obraz: biały kwadrat płótna, pusta filiżanka do kawy, zielona popielniczka sporządzona z syntetycznej żywicy należącej do grupy phenolaldehydów, i, pośród tego wszystkiego, czarny wyglansowany but, pokrywający nogę Karla Mayera aż ponad kostkę, a przymocowany za pomocą sznurowadła przedzierzgniętego przez dziurki wycięte w cholewce i obramione czarno polakierowanym metalem.

W tej chwili Philippe Guibillon przyszedł z kawą i papierosami 555 *State Express*; zerknął na stół, wydawało się jednak że nie zauważył tego, co w myślach nazwałem *Martwą Naturą Z Czarnym Butem.*

— Spójrzcie, drodzy przyjaciele, — rzekł Karl Mayer. — Oto jest mój nowy pomysł! Wymienny obcas! Mam już dokument urzędowy, stwierdzający przyznanie mi wyłącznego prawa na wyrób i sprzedaż tego wynalazku. Mówią że to wielka rzecz dla Armii. Spójrzcie jak gładko schodzi! — i bez wysiłku zsunął obcas ze swego buta, wyjął inny z kieszeni i założył go na miejsce pierwszego. — Produkcja nie jest wprawdzie możliwa for the duration z powodu braku gumy, mimo to jednak, czy nie jest to pomysłowy wynalazek? Nieprawda?

— Tak, — powiedziałem.

Kurt Schwitters cały ten czas miał wzrok utkwiony w pudełko 555 *State Express*.

— Przepraszam pana, panie Mayer, — rzekł teraz — Czy mogę wziąć jedną ściankę tego pudełka z papierosami? Co za piękny żółty kolor! Przykleję ją do mego obrazu, do mego collage. Ja zawsze zabieram wszystko co mi się może przydać do pracy. Idąc na kongres PENklubu, zwołany dla uczczenia 300-lecia *Areopagitica* Miltona, znalazłem obok Instytutu Francuskiego, w zbombardowanym poprzedniej nocy domu, kawał zgiętego drutu i w czasie przemowy pana Forstera zrobiłem z tego drutu rzeźbę przestrzenną. Wszędzie można znaleźć piękne rzeczy, leżące bezużytecznie wokoło. Pan nie ma nic przeciwko temu, że oderwę ten boczek pudełka i wezmę, prawda?

Bayamus spojrzał na mały przyrząd do mierzenia czasu, poruszany zapomocą cienkiej, skręconej, stalowej sprężyny, zamknięty w płaskim okrągłym srebrnym pudełku, umocowanym za pomocą paska do przeguba jego dłoni.

— Czyżbyście musieli już iść, moi drodzy przyjaciele? — spytał Karl Mayer — Dokąd wam tak spieszno?

— Widzi pan, — odrzekłem — mieliśmy zamiar iść do Teatru Poezji Semantycznej.

— Co to takiego? — spytał Karl Mayer.

— Sam dobrze nie wiem jeszcze. Dlatego idę. Myślę jednak, że to powinno być coś w rodzaju malowania farbami wziętymi prosto z tuby, tak jak je dostarczają Messrs. Rowney, czy Messrs. Winsor & Newton, czy Messrs. Lefranc. Nie mieszając ich ze sobą na palecie. Coś w rodzaju pisania poezji słowami odartymi z wszelkich skojarzeniowych aureoli, wziętymi tak wprost, jak je dostarcza słownik.

— Moi drodzy przyjaciele, — rzekł Karl Mayer — Nie sądzę żebym był za stary na tę ideę. Nie mógłbym jednak pójść z wami, tyle mam jeszcze roboty!

Bayamus stał już gotów do pójścia. W hallu odebrał od szatniarza swój czarny, okrągły, sztywny, pilśniowy kapelusz, po czym wyszliśmy przez mechaniczne urządzenie, składające się z ciężkiej obracalnej drewnianej konstrukcji, zbudowanej w ten sposób, że jedna tylko osoba przejść mogła naraz.

III

PALEC W USTACH

— ...to bardzo trudne pytanie, Bayamus, — powiedziałem, usiłując znaleźć odpowiedź. — Widzisz, — zacząłem znowu, — przypuśćmy że ty jesteś Naturą. Przypuśćmy, że jesteś sumą sił i czynników działających w fizycznym, zewnętrznym świecie; że jesteś sumą wszystkich procesów fizycznych; sumą przyczyn i skutków, które leżą u podstawy wszystkich istniejących zjawisk i wytwarzają je. I przypuśćmy że palec twój jest artystą; przypuśćmy że jeden z pięciu oddzielnych członków, które tworzą zakończenie twej dłoni, zajmuje się używaniem swej biegłości, zdolności, wiedzy i smaku, do estetycznego wyrażania uczuć i emocyj, lub do wytwarzania piękna za pomocą koloru, kształtu, słowa, dźwięków muzycznych

itd., i że traktuje to jako zawód. A teraz przypuśćmy że wkładasz palec do ust; przypuśćmy że wkładasz go do podłużnej szczeliny chronionej przez wargi, znajdujące się w twojej głowie; przypuśćmy że wkładasz go do jamy, do której ta szczelina prowadzi, jamy wyścielonej błoną śluzową, zawierającej język, zęby itd., i służącej do przepuszczania dźwięków wytworzonych przez twoje struny głosowe oraz do rozdrabniania pokarmów i mieszania ich ze śliną. I dalej przypuśćmy że próbujesz ugryźć swój własny palec. Przypuśćmy że naciskasz nań zębami, przypuśćmy że powiększasz siłę tego nacisku, przypuśćmy że zwiększasz *PRESJĘ*. I co z tego? Otóż spośród wielu różnych następstw jakie przyczyna ta pociągnąć może za sobą, wybiorę dwa:

1. twój palec znajduje się pod presją zębów;
2. twój palec wywiera presję na zęby.

Co jest godne uwagi w pierwszym wypadku, to palec, a raczej, aby być ścisłym, *IMPRESJA* odciśnięta na nim przez zęby. Im wrażliwość palca, jego zdolność reakcji na pobudki zewnętrzne, większa, tym głębiej odciśnięta i piękniejsza będzie impresja.
Co jest godne uwagi w drugim wypadku, to twoje uzębienie, mianowicie: do jakiego stopnia zęby twoje zostały przez palec wyciśnięte z zębodołów jak dalece posunął się proces *EKSPRESJI*. *I*, jeśli jesteś Naturą, jak to przypuściliśmy, palec zaś twój jeśli jest Artystą, to w pierwszym wypadku będzie on *IMPRESJONISTĄ*, w drugim zaś *EKSPRESJONISTĄ*.

Bayamus włożył palec do ust.

— Bardzo trudno jest ugryźć się we własny palec — powiedział.

— I to boli także, — ja powiedziałem.

Wyjął palec z ust, poprosiłem go jednak żeby zechciał łaskawie włożyć go jeszcze na chwilę.

— Za mocno nie naciskaj zębami, — rzekłem — trochę tylko. A teraz spróbuj poruszać nim tam i z powrotem, jeszcze raz, proszę. Wyczuwasz kształt palca?

— Aha, — odrzekł.

Wyjąłem mu palec z ust i poprosiłem by go obejrzał.

— Widzisz, — rzekłem, — zwilżyłeś go i jest teraz gładki i o wiele bledszy niż był przedtem. Fju, fju, bardzo akademicki palec. Poznajesz go?

Przyglądał się uważnie.

— Canova, — rzekł wreszcie, — i jego *Śpiąca Nimfa*?

— Jak dwie krople wody, — ja na to. — A teraz bądź łaskaw raz jeszcze włożyć palec w usta, i spróbuj nacisnąć mocniej.

Posłusznie uczynił to o co prosiłem.

— Jestem pewien, — rzekłem, — że się już na nim odcisnęła bardzo piękna impresja twoich zębów, Claude Monet, co? Spróbuj z łaski swej jeszcze trochę mocniej, proszę cię, tak żebyś wyczuł kość..., Cézanne?, prawda?; teraz zaś, jeśli te twarde i ostre, kość słoniową przypominające przedmioty, które wystają z twych dziąseł, przetną skórę oraz tkankę mięsną twego palca i jeśli sięgną aż do tej twardej struktury, która stanowi część twego szkieletu, to palec twój stanie się kubistą.

Twarz Bayamusa wykrzywiła się, lecz głowa jego wykonała krótki, szybki ruch w dół, dając w ten sposób znak, że zawarty w niej umysł zgadza się z tym co powiedziałem.

— Pięknie! — ja na to. — Czy jednak nie czujesz teraz bólu nie tylko w palcu, lecz również w tych twardych substancjach szczęki górnej i żuchwy, w których tkwią twoje zęby?

Kiwnął głową, że „tak”.

— A czy wiesz co się tam odbywa teraz, w twych dziąsłach?

Pokręcił głową, że „nie”.

— *Gabinet Dra Caligari*, Karla Mayera ekspresjonistyczny film. I to jest odpowiedź na twoje pytanie.

Wyjął palec z ust. Palec krwawił obficie. Sięgnąłem po chustkę do kieszeni, po czym próbowałem mu palec owinąć.

— Czy myślisz, — rzekł, — że możliwe jest mierzyć tę presję w funtach na incz kwadratowy, albo też w kilogramach na kwadratowy centymetr?

— Masz na myśli presję, z jaką twe zęby cisną na twój palec? — spytałem.

— Nie zupełnie to, — odrzekł. — Mam na myśli p r e s j ę, jaką s u m a sił i czynników działających w fizycznym, zewnętrznym świecie, suma wszystkich procesów fizycznych, suma przyczyn i skutków, które leżą u podstawy wszystkich istniejących zjawisk i wytwarzają je, w y w i e r a n a t ę c z ę ś ć j e j s a m e j, która zajmuje się używaniem swej biegłości, zdolności, wiedzy i smaku do estetycznego wyrażania uczuć i emocyj, lub do wytwarzania piękna za pomocą koloru, kształtu, słowa, dźwięków muzycznych itd., i która czyni to jako zawód.

— Hm... — odrzekłem — nie jestem pewien, jeśli chodzi o funty i kwadratowe incze, czy też o kilogramy i kwadratowe centymetry, lecz...

— W takim razie, — przerwał mi — jedyną miarą jaka ci zostaje, są sekundy. Wszystko mierzalne może być zmierzone w centymetrach, gramach i sekundach, albo też nie jest mierzalne w ogóle.

— Zupełnie się z tym nie zgadzam, — odrzekłem. — Możesz mierzyć również po prostu za pomocą liczenia. Za pomocą liczenia liczby sił i czynników działających w fizycznym, zewnętrznym świecie i za pomocą liczenia osobników. Możesz powiedzieć na przykład: pod presją takiej i takiej liczby dni deszczowych, i pod presją takiej i takiej liczby parasoli dostępnych na rynku, — była taka i taka liczba osobników, zwanych impresjonistami; pod presją takiej i takiej liczby przedmiotów posiadających nowe formy, a wyprodukowanych po rewolucji przemysłowej, i pod presją takiej i takiej liczby wypłat niższych od pewnej ilości pieniędzy, — była taka i taka liczba osobników, zwanych ekspresjonistami.

— I sądzisz, że można by znaleźć prawo w ten sposób?

— Nie myślę żeby to było niemożliwe. Nie jestem pewien jednak, czy takie prawo dałoby się sprawdzić za pomocą doświadczenia.

Nie odpowiedział mi. I dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że właściwie bardzo mało go znam. Szedłem obok, zastanawiając się nad tym jak pokierować rozmową, żeby się z niej czegoś o nim dowiedzieć, kiedy zatrzymał się nagle, chwycił mnie za guzik marynarki, i rzekł:

— Kto ty właściwie jesteś, co?

IV.

TRZECIA NOGA

— Oh, — mówię — to jest właśnie o co chciałem cię spytać.

— Mnie chciałeś spytać kto jesteś? — on na to.

— Nie, — mówię — chciałem cię spytać kto ty jesteś.

— Ja pierwszy zadałem pytanie — powiedział.

— Słusznie, — ja na to — ale widzisz, tak naprawdę, to nie mam nic wielkiego do powiedzenia o sobie. Zwykły, przeciętny człowiek jestem, to wszystko.

— I ja także, — powiedział Bayamus.

To było jednak zbyt jaskrawo wbrew oczywistości.

— Nie myślisz chyba że uwierzę, iż jesteś po prostu zwykły, przeciętny człowiek... — powiedziałem.

— Bo co? — spytał zaczepnie. — Co za licho każe ci w to wątpić?

— Ba! — rzekłem, pozwalając dwum ruchomym fałdom, składającym się ze skóry, mięśni poprzecznie prążkowanych, czarnych, wygiętych włosków, zmodyfikowanych gruczołów łojowych, i chrząstki, a przeznaczonych do ochrony mych oczu przed urazami mechanicznymi, zbyt silnym światłem, kurzem itd., opaść powoli pod ich własnym ciężarem.

— No i co? — spytał.
— Ba! — powtórzyłem, spoglądając na jego trzecią nogę.

Przeglądnąłem właśnie kartki mego rękopisu, by sprawdzić czy wspomniałem już że Bayamus miał trzy nogi. Nie znalazłem wzmianki o tym. Ponieważ jednak pismo moje bardzo jest do odczytania trudne, nie mogę być pewien. W każdym razie Bayamus m i a ł trzy nogi. Lewą, prawą i środkową. Jego środkowa noga była zupełnie normalna, tyle tylko że doskonale symetryczna. Nie widziałem jej wprawdzie boso, lecz czarny pantofel w jaki była obuta wykazywał takie odpowiedniości punktowe pomiędzy lewą i prawą stroną, że z miejsca wywoływało to obraz pięknej stopy o pięciu palcach, wielki pośrodku i małe po obu bokach. Noga ta, równie dobrze jak dwie pozostałe, służyła Bayamusowi do stania i do poruszania się. Czasami zginał lewą i prawą w kolanie i stał na środkowej, gotów do wygłoszenia mowy. Czasami wyrzucał się nagle w powietrze ze swej środkowej nogi, by po chwili opaść na lewą i prawą. Czasami, kiedy chciał zrównać krok ze mną, zginał środkową nogę w kolanie i szedł lewą i prawą.

Przychwycił moje spojrzenie.

— Więc, — rzekł — to jest t o, co ci się wydaje tak uderzające, tak godne uwagi, tak osobliwe, tak dziwne, że aż wykluczasz mnie z klasy, do której należą zwykli, przeciętni ludzie?

— Trudno mi zaprzeczyć, — wyznałem.

Wtedy Bayamus za pomocą swych organów głosowych wydał szereg nieartykułowanych dźwięków wyrażających emocję, powstałą na skutek tego, że w umyśle jego zaszły jakieś zajmujące czy wesołe skojarzenia.

— Och, — powiedział wreszcie — tyle jest *naprawdę* nadzwyczajnych zjawisk na tym świecie, że aż mi się wydaje że coś tam musi być nie w porządku z twoją głową, kiedy widzę że tak cię zaskakuje moja trzecia noga.

— *Naprawdę* nadzwyczajne zjawiska? — powtórzyłem za nim — Na przykład?

— Na przykład, — odrzekł — wszyscy ludzie mający tylko jedną nogę.

— Bayamus! — zawołałem — Cóż za głupstwa mówisz! Pełno jest wokół ludzi o jednej nodze. Tysiące i tysiące. Mój wuj chociażby.

— No i co? — spytał — I nie wydaje ci się to dziwne?

— No i nie! — powiedziałem — Wcale mi się to nie wydaje dziwne.

— No dobrze, — rzekł Bayamus — ale czy on się urodził jedno-nogiem?

— Kto? — spytałem.

— No, ten twój wuj... — powiedział.

— Nie! — ja na to. — Dwunogiem się urodził.

— No więc, — rzekł Bayamus — jak to było, że jedną nogę stracił?

Widziałem, że go ten temat zajmuje.

— No więc, — mówię — widzisz, mój wuj wypadł z tramwaju i stalowy, koncentryczny, obracający się krąg, służący tramwajowi do łatwiejszego posuwania się po dwóch stalowych belkach z rowkiem, ułożonych równolegle do siebie na jezdni, obciął mu lewą nogę.

— Lewą? — spytał Bayamus.

— Lewą, — odrzekłem.

— Więc, — rzekł Bayamus, — twój wuj stał się niesymetryczny.

— Tak, — ja na to, — ale gdyby stracił był prawą nogę, tak samo stałby się niesymetryczny.

— Słusznie! — rzekł Bayamus — Dlaczego jednak wypadł z tramwaju?

— Widzisz, — rzekłem — on był żyd.

— Kiedy to się działo? — spytał Bayamus.

— Oh, — odpowiedziałem — gdzieś około 1924, a może 26...

— Ale przecież — on na to — Hitler nie był jeszcze wtedy u władzy.

— Nie, — powiedziałem — nie był.

— No więc...? — spytał Bayamus.

— Więc, — mówię — było w tym tramwaju parę osób zajmujących się czerpaniem z zespołu usystematyzowanych wiadomości z różnych dziedzin naukowych, wykładanych na Uniwersytecie Warszawskim, oraz parę osób trudniących się nabywaniem wiedzy na Politechnice Warszawskiej.

— No i? — spytał Bayamus.

— No i — mówię — powiedzieli mu: „ty wstrętny, parszywy żydzie, do Palestyny jedź!"

— I... ? — spytał Bayamus.

— I — rzekłem — coś tam im odpowiedział, że 890 lat mieszka już w Polsce, i jeszcze coś o tym, że ich zachowanie niezgodne jest ani z nauką Uniwersytetu, ani z nauką Chrystusa.

— No i? — spytał Bayamus.

— No i — powiadam — wypchnęli go z tramwaju i wiesz już co potem było.

— I, — rzekł na to Bayamus — i ty śmiesz mówić, że twego wuja jedyna noga nie jest czymś bardziej nadzwyczajnym niż moja trzecia?!

— Oczywiście, że śmiem! — powiedziałem. — Nie widzę nic nadzwyczajnego w jednonożności mego wuja.

— Dlaczego? — spytał.

— Ba! — ja na to. — To było dla mnie całkowicie naturalne. Całkowicie w zgodzie ze zwykłymi, obserwowanymi w naturze zjawiskami; całkowicie w zgodzie z logicznymi pojęciami o przyczynie i skutkach. Jeśli noga znajduje się między stalową szyną i stalowym kołem posuwającym się ruchem obrotowym w rowku tej szyny, to zostaje obcięta. Jeśli ktoś wypada z tramwaju, to noga jego może się znaleźć między szyną i kołem. Jeśli zaś ktoś, kto jest żydem, sprzeciwi się osobie chrzczonej i zajmującej się czerpaniem z zespołu usystematyzowanych wiadomości z różnych dziedzin, wykładanych na Uniwersytecie Warszawskim, albo też trudniącej się nabywaniem wiedzy na Politechnice Warszawskiej, — to wypada z tramwaju. To było zupełnie proste i zupełnie normalne. Całkowicie w zgodzie z zespołem zasad, zwyczajów, prawideł, ze sposobami postępowania, działania i zachowania się, przestrzeganymi przez obyczaj i nawyk, i uznanymi przez nie za właściwe. Wiem, że tej utajonej, potencjalnej zdolności do wyładowania energii nic, w odpowiednich warunkach, nie potrafi powstrzymać od wyładowania jej za pomocą obcinania nóg. I wiem, że tych potencjalnych zdolności do intelektualnego i duchowego działania nic, w odpowiednich warunkach, nie potrafi powstrzymać od zbudowania argumentu usprawiedliwiającego ową przemożną chęć obcinania nóg, czy też osiągania butów w ten sposób. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyś mi pokazał 10.000 jednonogów, ponieważ wiem jakie jest prawdopodobieństwo posiadania jednej nogi obciętej.

— No dobrze, — rzekł Bayamus — wiesz jednak przecież równie dobrze, że istnieje prawdopodobieństwo posiadania jednej nogi extra. I mimo to wydaje ci się to nadzwyczajne!

— Tak, to prawda — powiedziałem. — Wiem, że zdarzają się... zniekształcenia, wybacz mi to słowo, zniekształcenia spowodowane wpływem otoczenia przed albo po urodzeniu, nigdy jednak nie widziałem nic podobnego do...

— Tu nie zachodzi wypadek zniekształcenia — przerwał mi Bayamus stanowczo. — Tu zachodzi wypadek mutacji. Nic w tym nie ma nadzwyczajnego, jeśli po tylu pokoleniach nagle nowy gen się pojawia.

— Zgoda, — powiedziałem — lecz jeśli to jest nowy gen, to będzie on dziedziczony dalej.

— No i co, — rzekł — i co nadzwyczajnego w tym by było?

Podskoczył na swej środkowej nodze, a potem podkurczył ją i idąc na swych bocznych nogach zrównał krok ze mną i rzekł:

— Widzę, że muszę opowiedzieć ci moją historię.

D. c. n.

DROZDY

Na sennym, pośród pól przystanku,
W zacichłej, obiadowej porze,
Poświerki nucą, bezustanku
W zaroślach, tuż przy samym torze.

Bezkreśny i, jak pożądanie
Gorący, prosty przestwór polny.
Liljowy las na drugim planie,
Obłoku siwy lok swawolny.

Na leśnej drodze drzewa, zbliska,
W zaczepkach czułych z orczykowym.
W przydrożnych dołach karczowiska
Fijołki, śnieg, wraz z iłem płowym.

Zapewne, kiedy noc już zblednie,
I piją drozdy z wgłębień owych,
By zato słuch rozdzwonić we dnie,
Przez żar i lód swych stóp wierszowych.

To zgłoska długa — krótka za nią,
To warem wre, to snieżną pianą,
Ot co wyprawiać mogą krtanią,
Tych kałuż blaskiem cynkowaną.

Na kępach mają swój zaścianek:
Tłumione szepty z za komina,
I podglądanie z za firanek,
I całodzienna paplanina.

W rozwartych nawściąż ich mieszkaniach
Z zagadek strój spadł tajemniczy.
Im bór sędziwy czas wydzwania,
Gałęzi szum kwadranse liczy.

Taki to drozdów kąt cienisty,
Przybrany jeno w liść i w korę.
Taki być winien byt artysty,
I ja z nich rownież przykład biorę.

SOSNY

Wśrod traw, gdzie kwiat bodziszka płonie,
Gdzie rumian, i gdzie wrzos liljowy,
Leżymy sobie, splótłszy dłonie
Pod zadartymi w niebo głowy.

Gąszcz traw poręby tej sosnowej
Tak chroni, jak zarośla łozy.
Spojrzenia zamieniwszy, znowu
Zmieniamy miejsca swe i pozy.

I, nieśmiertelni poprzez mgnienie,
Do grona sosen zaliczeni,
Od śmierci, chorób, epidemji
Czujemy się oswobodzeni.

Rozmyślnie, ruchy jednakiemi,
Zgęstniały błękit, zajączkami,
Skroś liście kładzie się na ziemi
I nam rękawy ubrań plami.

Wypoczywamy z leśną ciszą,
Przy gramoleniu się mrówczyny,
Usypiającą wonią dysząc
Sosnowej mirry i cytryny.

I tak potężne są w błękicie
Rozpędy smukłych pni sosnowych,
I my tak długo, w tym zachwycie,
Nie wyjmujemy rąk z pod głowy,

I tak szerokie wkrąg przestworze,
I tak nas tutaj nic nie drażni,
Że gdzieś, za pniami temi, morze
Migoce w mojej wyobraźni.

Tam fale, wyższe niż te sęki,
I z głazów waląc się w rozbiegu,
Na żwir krewetek miecą pęki
Z głębiny dna zamąconego.

A wieczorami, holowana,
Na korkach zwolna zorza płynie,
I mieni się łyskliwym tranem,
Rozlanym lekko na bursztynie.

Zapada zmierzch, i na przemiany
Ślad wszelki grzebie księżyc młody,
Pod białą magją śnieżnej piany,
Pod czarną magją cichej wody.

A morze szumi wzwyż falami,
I na pławiku grupa gości
Przed słupem stoi z afiszami,
Nieczytelnymi z odległości.

Przełożył
LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

LUDZIE SPOZA ZIEMI

I.

Gdy człowiek posiadł ląd ziemi i wydeptał swe ścieżki przez bory i moczary ku brzegom morza, wtedy żądny nowych dowodów wszechwładzy sięgnął po królestwo oceanów.

Kolumb szukając tajemniczej krainy Ofiru, nie przypuszczał, że przyniesie ziemi nową część świata. Wracając zaś w tryumfie, nie śnił nawet, że wiezie pod purpurowymi żaglami swej karaweli wraz ze złotem czy niewolnikami także i straszliwą rewolucję, która całkowicie odmieni oblicze Europy. Niebawem pokazało się, bowiem, że to nie człowiek pokonał morze, lecz morze zniewoliło człowieka i ląd przez niego zamieszkały. Oto na skutek okdrycia nowych dróg wodnych zawalił się nagle trzon dawnych porządków. Naprzód upadły ósrodki handlu śródlądowego. Odwieczne gościńce przez miasta i kraje porosłe budziakami i trawą. Opustoszały karawan-seraje karmiące brzuchatych Ormian, smagłych Greków i gadatliwych Lewantyńczyków. Pogniły wielkie wozy zaprzęgane w tuzin bawołów. Jedwab, korzenie zamorskie, na wagę złota ważone leki, balsamy i maście preparowane przez biegłych w magii lekarzy arabskich, wzięły teraz na swe pokłady wielkie okręty. Nad morzami, u ujścia rzek, zaczęły rosnąć miasta kolosy, gromadzące złoto i przez nie kupujące władzę nad szerokimi szmatami lądu. Handel i polityka skoncentrowały się w portach. Państwa ongiś bogate, imperia zdawało by się niezachwiane upadały w proch zapomnienia. Powstawały nowe budujące swą wielkość na dalekich posiadłościach indyjskich, afrykańskich, amerykańskich, na wyspach rodzących kokosy, na krajach bogatych w lasy hebanowe, obfitych w cenne kruszce i szlachetne kamienie. Po czterystu latach panowania morza nad suchą ziemią zanikły wreszcie nawet ślady minionych wspaniałości. Rosła nad światem Nowa Era i tak jej miano zostało zapisane przez mędrców w księgach historii.

Bleriot nie miał ambicji Kolumba, nie sięgał po władzę nad oceanami. Chciał tylko przelecieć wązki skrawek morza nad kanałem La Manche. Trzykroć próbował, trzykroć spadał z wysokości, trzykroć ratowano go od śmierci w łonie zazdrosnego morza. Dopiero za czwartym razem na swej maszynie powietrznej zwanej „aeroplanem" zdołał przeskoczyć owe czterdzieści mil i dotknąć kołami lądu „po drugiej stronie" — w Anglii.

Podobnie jak Kolumb i on także nie śnił w najśmielszych marzeniach, że owe półgodziny lotu zadecydowało o zagładzie jego świata: świata mórz. Gdyby jakaś wróżka odkryła Bleriotowi przed lotem ile krwi i ile przekleństw niesie na swych skrzydłach tak niewinnie obciągniętych kremowym jedwabiem — to zapewne nie dałby się nigdy wyratować z wody. Gdyby pierwszemu człowiekowi, który odbił się od ziemi na maszynie cięższej od powietrza, profesorowi Aderowi danym było znać przyszłość — porąbałby swego „Nietoperza". Gdyby Leonardo da Vinci był lepszym magiem niż malarzem i fizykiem — nie próbowałby nigdy odgadnąć nawet tak drobnej tajemnicy, jak ta która wytwarza dziwne prądy nie pod, lecz nad skrzydłem lecącego gołębia...

Powietrze jest elemetem, nie rozróżnia złego od dobrego, otwiera zarówno złemu jak i dobremu swe srebrne drogi. Dlatego, na skutek wspólnych wysiłków Leonarda da Vinci, profesora Adera i Bleriota żaden, nawet najodleglejszy skrawek ziemi, nawet ów ukryty wsród niedostępnych mroków Amazonki, czy zatopiony pośród największego z oceanów, nie jest dziś bezpieczny przed najazdem z powietrza. Gdziekolwiek zaś dotrą skrzydła maszyn powietrznych — tam zaraz wybucha ogień, szaleje zniszczenie i miejsce królestwa pokoju — zajmuje królestwo trwogi, łamiącej serca człowiecze.

Zmieniło się po raz trzeci oblicze świata. Gdy w czasach drugiej z kolei a minionej Ery Mórz ogniskami podbojów i bojów były porty, z których wypływały okręty, w obecnej Erze Powietrza stały się nimi wielkie płaskowzgórza, czy nizinne równiny, na których samolot może lądować, pobierać towary i paliwo czy też bomby i paliwo. Dróg powietrznych podobnie jak i dróg morskich nie wytycza wola ludzka. Wytyczają je wiatry, pogody, ukształtowanie ziemi oraz wiele innych przyczyn całkowicie od człowieka niezależnych. Toteż najważniejszymi punktami w świecie są i będą te nad którymi muszą krzyżować się dalekie szlaki przestrzenne łączące kontynenty z kontynentami — bazy lotnicze. Nie jest ich wiele, lecz one będą dyktowały kuli ziemskiej prawa nowego bytu. Wiadomo już dzisiaj, że leżące na wąskim szmacie lądu między Bałtykiem a Morzem Czarnym, w połączeniu z innymi, położonymi czy to na północnym cyplu Norwegii, u samego koła podbiegunowego, czy u stóp Piramid niedaleko Zwrotnika Raka albo będą twierdzami — stróżami wieczystego pokoju, albo — ogniskami wiecznej pożogi.

Kolumb prostym postawieniem swej stopy na sawannie Hispanioli skazał na śmierć bezmorską Polskę. Bleriot wszystkie Londyny, Suezy, Singapory i Hongkongi przeniósł na swych skrzydłach czarodziejskim sposobem w samo serce lądu Europy. O nie dziś sprawa między potęgami, lecz nie one je dostaną. Proste zaklęcie słowami dziesięciu błogosławieństw Chrystusowych zmiecie wierzących w przemoc z powierzchni nowego świata, lecz musi je wyrzec pilot, która dostąpi łaski poznania tajemnicy św. Graala; pilot dziedzic Lohengrina i Galahada, pilot samolotu, który nigdy nie miał na pokładzie cargo obarczonego przekleństwem gwałtu. Takie są słowa starożytnych ksiąg mądrości... O ludziach, którzy pierwsi zdobywali powietrze i o ludziach, którzy bronili jego świętej czystości będę pisał.

II.

W czasie listopadowej nocy, w roku Pańskim 1872 Ader przeleciał na dziwnej maszynie zwanej „Nietoperzem" 100 metrów. Świecąc stajenną latarnią ujrzeli zdumieni świadkowie, że ślad kół na posypanej czystym piaskiem przestrzeni urywa się nagle, ukazując się znowu po przerwie jednej dziesiątej kilometra...

Otto Lilienthal skakał na swym do gołębia podobnym szybowcu z górek i pagórków Pomorza. Unosił się w powietrzu czasem kilka sekund, czasem — kilka minut. Zginął w chwili, gdy uważał, że czas nadszedł do przymocowania silnika u skrzydeł swojej „Taube".

Wilbur i Orville Wrightowie zamknęli pewnego dnia pełne koło w locie nad ziemią. Przedtem latali, bywało, po kilkanaście minut. Nie wierzył im jednak nikt, nawet naoczni świadkowie. „Jeżeli moje oczy świadczą o nonsensie — rzekł ówczas jeden z dziennikarzy — wolę nie wierzyć własnym oczom." W konsekwencji nazwał obu braci szarlatanami.

Tymczasem Europa, nawet Francja dawno zapomniały o profesorze Aderze. O Wrightach tam nie wiedziano. Po laury pierwszego człowieka który zdołał oderwać się od ziemi na maszynie cięższej od powietrza sięgnął Santos Dumont. W jego ślady podążyli gorący Farman, uparty Bleriot, dzielny i szlachetny kapitan Faber. Niebawem Bleriot i Farman założyli nawet szkołę latania, zaś pośród pierwszych dziesięciu, którzy ją ukończyli i otrzymali pierwsze w świecie dyplomy pilotów były aż cztery polskie nazwiska.

Pamiętam ich dobrze, tych pierwszych: w wysokich sztywnych kołnierzach, w kusych kurtkach skórzanych, w bufiastych spodenkach w kratkę czarno-białą z nieodłącznymi sztylpami ciasno opinającymi łydki. Idealiści, entuzjaści, zapaleńcy, dumni jak pawie, gotowi na każde szaleństwo, lekko ważący swe życie byle tylko latać, latać coraz lepiej, coraz dalej,

coraz wyżej. Gdy siadali „do wolantu", zasadzali wielkie cyklistówki tyłem do przodu, głęboko na oczy. Na nich świeciły się olbrzymie, wypukłe, osadzone na sprężynach okulary automobilowe. Ich mechanicy z należytym dostojeństwem majstrowali tajemniczo koło małych, kilkunasto konnych motorków Anzaniego, czy Farmana. Potem klaskali, gdy ich „aeroplan, pędząc długo na kółkach, kiedy dostatecznie zagęściło się powietrze pod skrzydłami — wzbijał się w górę".

W hangarach leżały zawsze stosy bambusowych palików, zwoje stalowego drutu oraz olbrzymie bale surowego jedwabiu. To był ich materiał budowlany. Z trzciny bambusu, z blaszek aluminiowych i jedwabiu, budowali swe monobi — i triplany, ciągle eksperymentując, skracając to znowu wydłużając skrzydła, zmieniając motory, czy kształt ogona, „na nos" lub według ślepego trafu. Latali na ślepym trafie, ślepym jedynie trafem lądując zdrowo po przebyciu kilkuset metrów na wysokości kilkunastu. Łamali sobie zęby, gruchotali kości, odbijali płuca i nerki, szli do szpitali i znów latali.

Kosztowało to sporo, lecz dawny świat był bogaty i stać go było na eksperymenty, nawet najbardziej nieprawdopodobne. Zresztą opieka nad „aeronautą" lub „awiatorem" należała ówczas do dobrego tonu. Grubi bankierzy pożyczali lotnikom pieniądze na wieczne nieoddanie. Zresztą pośród tego grona rozentuzjazmowanych samobójców i wariatów, za jakich ówczesnych lotników uważano, znaleźli się także ludzie zamożni, opanowani manią wypełnienia słów Prusa: „Czy pan rozumie — mówił Ochocki do Wokólskiego — jaki nastąpiłby w świecie przewrót po takim wynalazku? Nie ma fortec, armii, granic... Znikają narody, lecz za to w nadziemskich budowlach przychodzą na świat istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów? Już ujarzmiliśmy wiatr, ciepło, piorun... Czy nie sądzisz pan, że nadeszła pora nam samym wyzwolić się z oków ciężkości? Oszaleję, lub przypnę ludzkości skrzydła!..."

Przypinali więc skrzydła ludzkości i kleili je klejem własnej krwi, siłą młodości położonej na ofiarę złudnych nieraz efemeryd i marzeń, pragnąc sławy, a doczekując się jakże często—tylko ośmieszenia. Lecz trwali przy swoim ci dzielni pradziadowie pilotów eskadry 303, bowiem widzieli nad światem wschodzącą różową zorzę wieczystego pokoju, braterstwa i niczym nieograniczonej wolności w przestrzeniach.

Wiosną 1912 roku zadrżały serca studentów politechniki lwowskiej na wiadomość, że z dalekiej Francji przybyć ma do Lwowa uczeń samego Bleriota, niejaki Grand. Miasto przybrało odświętne oblicze, wystawy sklepów pełne były fotografii bohatera, jego samolotu, także innych samolotów i co sławniejszych „awiatorów". Zorganizowano wykłady popularne o lotnictwie. Prelegentami byli dwaj specjaliści miejscowi: a więc inżynier Libański który skonstruował już aż dwa samoloty, z których jeden nawet oderwał się od ziemi, oraz inżynier R..., wprawdzie nie konstruujący osobiście maszyn do latania, natomaist mający mnóstwo pieniędzy i chętnie popierający inicjatywę na tym polu. Ponieważ zaś, jak mówiono, łączyły go bliskie stosunki z pewną damą, która parę lat temu skakała z balonu na spadochronie nad Lwowem, więc uchodził w oczach wszystkich za znawcę aerologii.

Tej majowej niedzieli, w której miały się odbyć loty na błoniach kulparkowskich, miasto opustoszało. Pociągnęło pielgrzymkami pod Kulparków. Był upał i kurz unosił się z dróg i dróżek polnych, lecz nikt na to nie zwracał uwagi.

Grand nie miał jednak szczęścia. Gdy zabierał się do startu naprzód motor nie chciał zaskoczyć, gdy zaś po czterech godzinach kręcenia śmigłem zaskoczył wreszcie, zaraz przy rolowaniu podwiał wietrzyk skrzydełko i bohater razem ze swym aeroplanem rozłożył się jak długi. Grand był niewątpliwie dobrym pilotem, lecz równocześnie gołym jak święty turecki młodym chłopcem. Mając w głowie wiele pomysłów, które realizować

można było jedynie posiadając majątek, za pieniądze odziedziczone po ciotce kupił Bleriota XII A., pudło nieco sfatygowane z motorem Anzani, kupionym od Fabera z drugiej ręki. To pudło miało być kurą znoszącą złote jajka. Z nim wybrał się na objazd pomniejszych miast Europy, by zebrać potrzebne do dalszych eksperymentów fundusze. I oto klęska! Samolot leżał z pogruchotanym skrzydłem i z podejrzanie rozregulowanym motorem na trawniku Kulparkowskim. Grand nie miał potrzebnych na naprawę funduszow (należało samolot zapakować i posłać do fabryki do Paryża) ani owych specjalistów mechaników, płaconych na wagę złota. Pomoc przyszła zarówno nagła, jak i nieoczekiwana w postaci studentów politechniki. Przy pomocy entuzjazmu Libańskiego a pieniędzy inżyniera R... przetransporotwano Bleriota XII A. na podwórze Politechniki, gdzie przystąpiono do remontu. Ponieważ popis się nie udał, a dziesięć tysięcy osób zwróciło się z żądaniem zwrotu pieniędzy, ogłoszono, że bilety ważne będą na następny występ lotniczy, który odbędzie się niebawem. Równocześnie na zebraniach studenckich złożono uroczyste oświadczenie że Grand musi latać, gdyż tego wymaga honor najwyższej technicznej uczelni w Polsce.

Tymczasem we Lwowie nowa sensacja. Na murach miasta ukazały się liczne, a bardzo piękne plakaty, ogłaszające, że niebawem na Placu Wyścigowym, na takim samym Bleriocie XII A, będzie latał niejaki Hieronimus, Czech. Ów Hieronimus był mocno popierany przez najwyższe władze wojskowe, więc nie brakowało mu pieniędzy. W oznaczonym dniu, na Placu Wyścigowym za Parkiem Stryjskim stanął nowiuteńki, czyściusieńki samolot obciągnięty świecącym, białym jedwabiem. Koło samolotu kręciło się mnóstwo wąsatych, brzuchatych jegomościów także w białych ubraniach sporotowych z wychaftowanym czerwonymi literami napisem „Hieronimus". Hieronimus bez specjalnych przygotowań wsiadł do maszyny i obleciał plac trzy razy dookoła. Gdy się odbił od ziemi i znalazł w powietrzu tłum zamarł z podziwu, grozy i radości. Gdy po dziesięciu minutach wylądował,wybuchnął niebosiężnym wrzaskiem i wiwatami. Bohatera zdjęto z samolotu i zaniesiono na barkach pod trybuny wypełnione po brzegi kwiatem towarzystwa. Tam oddano go w ręce pana namiestnika oraz grona pań w olbrzymich kapeluszach. Fontanny czarnych i białych rajerów, całe pęki egzotycznych roślin, strusich piór, koronek i jedwabi zakryły całkowicie lotnika przed oczyma tłumu.

Jedyni, którzy odchodzili niezadowoleni i ponurzy z Placu Wyścigowego, byli studenci Techniki z inż. Libańskim na czele. Jak to?! Jakiś tam przybłęda, bez żadnego trudu, tylko dlatego, że był pod protekcją komendanta garnizonu zdołał pokazać, że lata lepiej od „ich" Granda?

Następnego dnia zawrzało na Politechnice. Zawrzało też w całym mieście. „My im pokażemy" — stało się chasłem dnia, a raczej chasłem młodzieży. Kto byli owi „oni"? Tego nie dałoby się określić dokładnie. Dziś dopiero rozumiem: „Ci", „Tamci" to byli owi przyziemni władcy materii, którzy zawsze młodości, fantazji, pracy przeciwstawiali wszechwładny pieniądz. Teraz „oni" wolne powietrze należące darmo do każdego żebraka chcieli też kupić i zabrać dla siebie, jak wszystko na świecie. Zabrali się lwowscy studenci do roboty. Zaczęły się po mieście gorączkowe gonitwy za palikami bambusowymi, za stalowymi linkami za jedwabiem surowym. W miesiąc samolot był gotów. I o tryumfie! O rozkoszy! Na tym samym placu Wyścigowym, gdzie Hieronimus startował, startował też Grand na naprawionym samolocie. Utrzymał się zaś w powietrzu nie dziesięć minut, nie! Całe pół godziny, nawet według stoppera 32 minuty, 14 sekund i 2/5 sekundy! Czy wy to rozumiecie? Pół godziny na wysokości przeszło 30 metrów?

O piloci Thunderboldtów, Tempestów, Air Cobr czy Mustangów! Jestem przekonany, że mimo dobrej woli w którą święcie wierzę, przecież nie rozumiecie. Te pół godziny wówczas były po stokroć więcej warte

niż dziś przelot przez Atlantyk, wielokroć więcej niż lot do bieguna Północnego na „Ariesie". To było pierwsze półgodziny lotu nad Polską.

W rok później, tym razem na Błoniach Janowskich, w tym samym miejscu, gdzie później pierwsze lwowskie znajdowało się lotnisko, startował o zachodzie słońca samolot typu Wright, z pilotem Polakiem Scipio del Campo przy drążku sterowym. W ciągu tego jednego roku lotnictwo posunęło się milowymi krokami naprzód. Już Farman pobił rekord wysokości przekraczając 1.000 metrów, już Francuz Pegout zdołał wykonać pierwszą „pętlę śmierci" (po prostu pierwszy looping). Nazywało się zaś to tak wzniośle a morderczo pompatycznie, gdyż ówczesny świat kochał się w bufiastych sukniach i bufiastych słowach, w wielkich kapeluszach i wielkich powiedzeniach, w kolorowych krawatkach i kolorowych frazesach.

Przy locie Scipiona brakło dostojników miejskich. Samolot stracił właściwie charakter sensacji. Natomiast na Błonia Janowskie pomaszerowała tłumnie młodzież. Wsród mych towarzyszy przypominam sobie twarze czterech późniejszych lotników, ówczas jeszcze w mundurkach gimnazjalnych. Wszyscy czterej szli na popis pełni goryczy i żalu. Scipio ogłosił bowiem, że płaci każdemu, kto mu zechce towarzyszyć w locie 1.000 koron. Naturalnie zgłosili się wszyscy czterej, lecz Scipio zażądał pozwolenia piśmiennego rodziców... Wszystko było możliwe na kuli ziemskiej, prócz tej jednej drobnostki...

Scipion wybrał rozsądnie bezwietrzną porę wieczorną do startu. W małym lasku brzozowym, dokładnie naprzeciw białych domków kolejarskich Lewandówki, stanęła dziwna dwupłatowa maszyna. Jej białe skrzydła czerwieniały z lekka od poblasków zorzy. Ogromne słońce zwolna spływało za zalesione pagórki Janowa. Jeszcze ostatnie ptaki nie zdołały usadowić się na gniazdach, gdy rozległ się suchy trzask motoru. Za chwilę samolot drgnął i popłynął na swych drewnianych płozach. Oderwał się od ziemi i zaczął się wznosić prosto w słońce. Czarny jego kontur robił wrażenie niesamowitego owada, buczącego nieznośnie. W tym locie nie było już niepewności i wysiłku — był tryumf i zwycięstwo...

Jednak nie był to ani tryumf ani zwycięstwo. Ileż krwi ileż trudu, ileż zaparcia się siebie miały kosztować dalsze kroki w górę. Wiele mogli by powiedzieć o tym ci, którzy pierwsi ulegli przemożnemu czarowi powietrza. Ogarnęła ich miłość śmiertelna i straceńcza, warta jednak opłaty krwi. Polacy kochają swobodę, przestrzeń otwartą i wolność nieograniczoną niczym. Nie mając mórz, przez wieki gasili swe tęsknoty na stepach. Tętent rozpędzonego wśród burzanów konia pozwalał śnić o swobodzie. Gdy odebrano Polakom stepy, do ucieczki od ciasnoty i niegodziwości ziemi pozostał tylko jeden szlak: powietrze. Jego kryształowa kula obejmuje glob ziemski tak ogromnym obszarem iż w porównaniu z nim nasza planeta jest tylko pestką w jabłku. Nad ziemią tysiące mil w górę, tysiące mil w prawo i lewo, gdzie spojrzysz, rozściela się błękitna wolność. Nikt nie wymierzył dotychczas jej granic, chyba meteory wyłamane ze swych astralnych ścieżyn i ściągnięte ciążeniem ziemi ku jej dolinom.

Tę wolność należało zapewnić wszystkim, wszystkim narodom, wszystkim ludziom jacy mieszkają pod słońcam by wreszcie doznali rozkoszy pełnego wyzwolenia. Tego pragnęli pierwsi lotnicy. O tym marzyli pierwsi marzyciele. O takiej maszynie, która by to wypełnić mogła, która by raz na zawsze zakończyła wszystkie wojny obdarzając ziemię wiecznym mirem.

Pierwsi lotnicy nie byli samolubami, nie ubiegali się o zaszczyty, o ordery, czy poklaks tłumów. Szukali dróg wolności i pokoju. Szukali zaspokojenia tego głodu przestrzeni, który mieszka w każdym szlachetnym, młodym sercu. Już pierwszy oddech powietrzem wysokości był wstrząsem: poznali, że tam, pod chmurami, myśl ludzka samoistnie zamyka się przed

troską. Należało więc latać, latać i latać, by uzyskać nie tylko minuty, lecz godziny i dnie wolności ducha.

Nawet gdy pożar wojenny ogarnął Europę, jeszcze pamiętali o swym posłannictwie pionierów.

Zaraz drugiego dnia wojny na placu Powystawowym nad Parkiem Stryjskim we Lwowie rozbił się samolot wojskowy. Pilot i obserwator zabici. Pilotem był Wiedeńczyk, lecz obserwatorem — Polak, którego nazwiska niestety nie pamiętam. Przy jego ciele znaleziono notatki, prowadzone dosłownie — do ostatniej chwili. Cytuję je z pamięci, bowiem dobrze wryły mi się w serce i mózg.

„W tej chwili łamie się podpórka prawego skrzydła... Prawdopodobnie na skutek zbyt gwałtownego wirażu... Pewnie oderwie się skrzydło... Pamiętajcie wzmocnić odrutowanie i umocowanie podpórki... Podpórka prysła i górne skrzydło się składa... Już pękły trzy linki... Jesteśmy w korkociągu... Wzmocnienia kadłuba są za słabe, gdyż kadłub wichruje się od wstrząsu... Nie jest prawdą, że człowiek lecący w dół traci przytomność... Ziemia...”

Pewnie chciał napisać, że ziemia blisko i już nie zdołał. Ostatnie wyrazy były i tak prawie że nieczytelne. Jakież nerwy musiał mieć ten człowiek, który widząc pewną śmierć, jeszcze dzielił się swym doświadczeniem z tymi, którzy po nim, na tym samym samolocie latać będą.

Grób tego oficera jest na cmentarzu Łyczakowskim. Na krzyżu ma przybite śmigło. Ówczesny obyczaj lotniczy kazał przekreślać krzyż symbol miłosierdzia i miłości jeszcze jednym symbolem: śmigła, którego kształt w matematyce oznacza nieskończoność...

III.

Tylko nieliczna garstka pierwszych pionierów lotnictwa wzięła udział w wielkiej przygodzie wojny. Bój rozpoczęli po swojemu, po rycersku. Gdy lecieli na rozpoznanie na swych podrutowanych skrzyniach, spotykając przeciwnika w powietrzu nie strzelali do niego, lecz pozdrawiali go ukłonem dłoni. Co prawda nie mieli na swych samolotach żadnej broni, prócz wielkich, wielostrzałowych pistoletów u pasa, lecz nawet i tych nigdy nie dobywali w powietrzu dla walki. Niebawem jednak nowe pokolenie pilotów zajęło miejsca przy drążku sterowym. To pokolenie było inaczej chowane, już w dzieciństwie chętnie słuchali okrzyków bojowych, czy dźwięczących stalą mów królów i cesarzy. Chętnie uczestniczyli w wojskowych paradach i chętnie oddawali się marzeniom o dniach boju i chwały. W niedługim czasie ich samolot odrzucił skórę niezgrabnej poczwarki i przybrał własciwy kształt — drapieżnego ptaka. Już z łatwoscią unosił ciężar broni i amunicji.

Pierwsza krew splamiła dziewiczą czystość mgieł nadziemnych. Poczuły ją śpiące na niebotycznych wysokościach czarne anioły zniszczenia, otrząsnęły pióra z mroźnych odrętwień i runęły w dół jastrzębim obyczajem. Odtąd już okrążały ziemię węsząc za krwią. Najchętniej siadały na brzegu kabiny lecącego samolotu i dając się unosić przez chłodne wilgocie pustki powietrznej dołączały do szumu linek i brzęku motoru własne drapieżne kantyleny.

Wśród trądu pocisków plamiących strop niebieski, wśród dymiących meteorów palących się maszyn, przy zgrzytaniu karabinów maszynowych kształcili się piloci drugiego pokolenia. Byli zupełnie odmienni od dawnych romantycznych straceńców, którzy szukali po wysokościach poezji tęcz i strącali pyłki ze srebrnoszarych zawiesin sfer podobłocznych. Ci nowi żyli wprawdzie życiem królewskich ptaków, lecz zwykle ginęli marną śmiercią ciem i jednoniówek. Dlatego niezatartą pieczęć na ich charakterach wycisnął przede wszystkim strach śmierci. Ów strach każdy z lotników bojowych przeżywa, czy chce czy nie chce, czy przyznaje się

do niego, czy też nie. Ów strach ma tę właściwość, że gdy trwa w permanencji, wywodzi ducha poza obręb ciała. Ludzie którzy zostali dotknięci tą najstraszliwszą z chorób nie bardzo są pewni tego czy naprawdę istnieją, czy są tu, czy też całkiem gdzie indziej. Przestają rozróżniać sen od rzeczywistości i rzeczywistość od snu. Wszystko zasnuwa przykra szara mgła, z której nie ma wyjścia.

Drugie pokolenie odziedziczyło po pierwszym tylko jedno: opętanie powietrzem, które pogłębiał jeszcze gorżki narkotyk lotniczego boju. Gdy ustał bój i nadszedł pokój, wtedy tym, którzy go dożyli, zabrakło narkotyku walki. Szukali go jednak bez przerwy, lecz tylko chłodna wilgoć chmur, lub orzeźwiający mróz stratosfery koiły ich głód nieustanny. Dla bojowych lotników spokojne życie bez powietrza nie bylo życiem lecz wegetacją. Ziemia nudziła monotonią i starczą powolnością uregulowanego bytu. Więc pobyt na niej urozmaicali tym co ona im była w stanie ofiarować w swym ubóstwie: opium, morfiną, alkoholem i kobietą.

Na szczęście dla nich sprzęt lotniczy był ciągle jeszcze niedoskonały, zaś latanie wciąż hazardem. Więc ryzykowali życie upajając się akrobacją na maszynach do niej nieprzystosowanych, lub rzucali się na szaleńcze przeloty, zdobywając przestrzenie powietrznego królestwa, nie dotknięte jeszcze skrzydłem człowieczym. W miarę biegu lat uspokajały się instynkty drapieżne dawnych bojowych pilotów i po mału lot jako taki stawał się dla nich nie tylko oszołomieniem i przygodą przeznaczeniem, lecz raczej treścią i celem życia. Zresztą nigdy w powietrzu przygód nie brakuje, bowiem nikt dotychczas nie zgłębił wszystkich tajemnic tej „krainy Siódmego Kręgu Szczęścia".

Powietrze jest przy tym piękne. Kto nie widział chmur z góry, wełnistych obłoków, rozłożonych falami od jednego krańca horyzontu po drugi, kto nie chłonął oczyma pobłysków wilgoci na sennych płaszczyznach mgieł, podobnych do zamrożonego łanu zboża o brylantowych kłosach — ten nigdy nie zrozumie lotnika. Kto nie odkrywał tajemniczych cieni zatopionych miast, lasów czy jezior utkanych z nieprzezroczystych a srebrnych zawiesin, kto nie upajał się wschodem słońca spod niebiesko-szarych chmur wysokiego złoża, kto nie ujrzał pierwszego promienia jak wystrzela zza dymnych kurtyn, który przemienia mgły, obłoki i niebo w wielką opalizującą konchę z mórz Południowych—cóż może rzec o życiu? Słusznie powiedział wielki badacz głębin morskich a zapalony lotnik: kto nie był na dnie morza i kto nigdy nie latał — ten nigdy nie żył naprawdę. W powietrzu wszystko się dzieje inaczej i odmiennie niż na zapadłej w dole ziemi. Tu nawet noc nie spada z góry mrokiem i zacieniem, lecz podnosi się zwolna ku górze, rozpinając w dole szare welony melancholii. Już ziemia śpi w wystałych dymach, a jeszcze nad nią na szlakach loksodromy łyska czerwone słońce i zorze spalają milczące czoła burzowe, ciągnące chyłkiem od zachodu.

Inny świat, inne prawa bytu, inne widoki. Czyż można się dziwić więc, że ludzie, którzy wydarłszy się za obręb ziemi, i znaleźli się po za nią — stają się odmienni od tych, którzy chodząc po ziemi, całe życie liczą tylko przydrożne kamienie?

Pewnego dnia eskadra lwowskiego pułku leciała z Grudziądza do Rumii. Jednak w połowie drogi napotkała niepogodę. Oto dwie burze szły ku sobie od zachodu i wschodu, pędzone przeciwnymi wiatrami. Wyglądały jak dwie ściany utkane z ciemno-szarego aksamitu, przez które przepływały w dreszczach krwawe prążki błyskawic. Sięgały rozwichrzonymi czołami chyba do zenitu, stopy wełniste opierając o ziemię. Zagrodziły linię lotu długim korytarzem, szerokim u wlotu, wąskim u dalekiego ujścia. Nie można było przelecieć górą, ani ominąć bokiem, wstyd zaś zawracać. Klucz wszedł między burze. Od razu łupnęło wirami po skrzydłach i samoloty zaczęły przewalać się na boki. Posypał się grad po celonie.

Niebawem klucz ogarnęła nieprzeźroczysta mgła, z której siekło ostrą wilgocią. Lecz nagle mgła ustąpiła, zaś przed pierwszym samolotem otworzył się wąski przesmyk między chmurami. Nad przesmykiem ciemniło się szafirowe niebo, zaś na obu bokach przesmyku rozpięły łuki jedna za drugą siedem wspaniałych tęcz. Był to łuk tryumfalny, pod jakim nawet najpotężniejszym cezarom nie danym było przechodzić. Pod takim łukiem przeleciała eskadra ku pogodzie.

Wśród takich zjawisk, wśród dziwacznych spotkań z wędrownymi ptakami, wśród odmętów chmurnych, lecz i płomiennych zarazem, plotła się poezja z życiem. Poezja, wobec której cichła ludzka fantazja i słowo, bowiem wyobraźnia człowieka jest zbyt wąska, zbyt ograniczona, by oddać dźwiękiem co tam widzą oczy, czym tam bije serce, czym tam dźwięczy dusza. Wcześnie lotnicy poznali ubóstwo słowa i dlatego w obecności laików milczą o sprawach nieba.

IV.

Polski lotnik obecnej wojny to dziecko przedwcześnie dojrzałe. Zatrzasnęły poza nim bomby i grzmot dział beztroską i słoneczną młodość. Pewnego dnia znalazł się w przestrzeni przepełnionej rykiem propagandowych głośników, zgiełkiem motorów bitewnych, wśród trupów i płomieni, ogromnie samotny i bezradny, jednak prędko pojął, że to co się dzieje, tylko najmocniejszy potrafi przetrwać, tylko najbardziej wytrzymały wytrzymać, tylko najbardziej wytrwały dojść do celu. Celem była Ona złotopszczoła Polska przeistoczonych kołodziejów, piękna i sprawiedliwa, umiłowana i jedyna w świecie.

Do niej chciał dolecieć jak najprędzej, jak najpewniej. W tej wierze dorwał się samolotu, owej czarodziejskiej maszyny proroka Enocha, wozu ognistego Eliasza. Już po pierwszym zetknięciu się z powietrzem jego czar zaczął działać. Chmury, wiatry, tajemnicze światła, siatka ziemi oglądana z wysokości, wiecznie zmienna, zawsze równie niepozorna i szara, czy gdy ją zwą Szkocją, czy gdy ją mianują Arabią, Lewantem czy Kanadą. W rozkoszy samotnego lotu, kiedy cała radość młodości staje się dotykalna i uchwytna, porywając oszołomieniem, zaczął śnić, że jest jednym z tych wybranych, którym przypadek oddał w ręce lampę Alladyna. W każdym z towarzyszy dopatrywał się nadludzkich a romantycznych właściwości. Wytworzył sobie w myślach swój własny szklany świat, który jednak rzeczywistość jutra miała roztrzaskać. Rzeczywistość nazywała się dywizjonem. Tam był koniec z marzeniami, tam była wojna. Tam wodził rej nie poeta, lecz drapieżny typ myśliwca, zaczadzony bojem i powietrzem, chorobliwie ambitny, nerwowy, przykry a zawsze podniecony. Bowiem współcześni lotnicy po stokroć więcej niż ich ojcowie, lotnicy pierwszej wojny światowej, ścigani byli chorobą rozdwojenia, wywołaną tak straszliwymi napięciami nerwów, jakich z żyjących nikt dotychczas nie doświadczał. Były poza nimi czarne noce długich wypraw bombowych, boje z maską tlenową dławiącą oddech, skoki ze spadochronem z rozbitego pociskiem pudła, bezsilne błąkania się po morzu w wątłej gumowej łodzi, gdy ciągle jeszcze wzrok wyobraźni ścigał smugi popalonych maszyn, deszcze iskier kapiących z eksplozji, a słuch powtarzał wciąż głosy dźwięczące na fonii „palę się, lecz skakać nie mogę", „zestrzelili mnie, idę ku ziemi", „jestem ranny, powiedzcie matce, żonie, dzieciom..." lub wśród gwałtownych komend ostrzegawcze okrzyki „uwaga siedzi na ogonie!" „unik w lewo", „pilnuj się..."

Otaczały ich dokoła mistyczne, nieludzkie bronie, które sprawiały, że nie widząc widzieli, nie słysząc słyszeli, nie czując czuli. Wchłaniało ich powietrze, lecz nie to miękkie i jasne, pełne niewinnych przygód i barw tęczowych, lecz inne, w którym słońce i gwiazdy, chmury i księżyc były tylko jaskiniami, z których wypadały śmiertelne uderzenia zasadzek...

Żyć tam trzeba było bez uczucia miłosierdzia czy litości, jeszcze wczoraj, a jednak przed wiekami, Richthofen odskakiwał ciągnionym wirażem od Foncka, gdyż zauważył, że przeciwnikowi zaciął się karabin. Fonck przerywał walkę, gdy przeciwnik wykazywał brak doświadczenia i zbyt łatwą wydawał się zdobyczą. Dziś postrzelana, uszkodzona maszyna stała się tylko pożądanym łupem. Dziś wroga się nie oszczędza, dziś wroga się kończy...

Żyć trzeba było bez marzeń, gdyż marzenia zasłaniały świat rzeczywisty, w którym czyhał wróg. Zamarzenie równało się słabości, zaś słabość śmierci...

Przychodziły na lotnika nieuniknione chwile spędzane na ziemi, między jedną a drugą wyprawą, chwile jeszcze bardziej tragiczne niż te w powietrzu. Rozdźwięk między człowiekiem powietrza a człowiekiem ziemi stawał się czasem nie do zniesienia. Próbowali mówić do siebie, nawet pokazywać wzajemną uprzejmość, lecz język ich choć ten sam, jednak całkiem był odmienny, ich serca nie drgały tym samym rytmem, w innych napięciach żyły dusze. Mimo to, mimo wszystko inne zawsze i bezustannie każdy z ludzi powietrza tęsknił do ziemi, gdyż choć poza nią wyrzucony, był tylko człowiekiem zrodzonym z kobiety. Dlatego też często jedynym ogniwem łączącym tych mimowolnych odszczepieńców z ziemią stawała się kobieta. Pierwsza lepsza kobieta, byle otwierała ramiona do uścisku. Lecz z takich uścisków wyrywali się w końcu smutni, gdyż zamiast pełni dosytu, znajdowali jedynie pustkę i zniechęcenie.

Cały ból ziemi, który ich przytłaczał, cała melancholia jej nizin, która ich tak upadlała, ustępowały dopiero wtedy, gdy koła ich samolotu znów odrywały się od lotniska w świat nierzeczywisty, którego jedyną rzeczywistością była śmierć.

Jednak przez wszystkie dole i niedole życia lotniczego przepływał stale jeden motyw powrotny: pragnienie kraju, tęsknota za Polską. Lecz ich Polska nie była na ziemi. Granice tej miodopłynnej wisiały na wczesnych zorzach, przy zaczarowanych zatokach, które z obłoków nocnych wybudowały gwiazdy. O brzegi tych zatok uderzają fale pełni, szeleszcząc przyjemnie, obiecując pokój, ciszę i odpoczynek.

Drogę do tej Polski ścielą mdłe światła runwayu, uciekające w daleką perspektywę nocy, wytyczają sine słupy reflektorów, skierowane w niebo, prowadzi do Niej drżąca igła kompasu busoli.

Lecz cóż? Gdy się wreszcie ujrzy jej kontury, księżycem srebrnie obrysowane, nie można na niej lądować. Lotniska utkane z przejrzystych pajęczyn nie wytrzymują ciężaru ludzkich, jakże ciężkich skrzydeł.

Jednak zapytajcie lotników, czy nie wierzą, że pewnego dnia, czy pewnej nocy nagle stężeją i bieżnie haftowane na nikłych promieniach przyjmą maszyny wszystkich dywizjonów. Dolecą.

V.

Gdy anioły elementów usłyszały płacz poety, który chciał tam polecieć, gdzie lecą wieczorem łabędzie, prosiły Stwórcę by w swej hojności oddał ludziom w pacht niedostępne im dotąd dziedziny powietrza. Stwórca zezwolił. Obdarzając ród człowieczy nowym błogosławieństwem, nie ograniczył granic nowej wolności nawet tą czarną linią, tak dobrze znaną lotnikom, która oddziela szare wydzieliny ziemi od sfer górnego powietrza. Pozwolił sięgnąć człowiekowi poza nią, aż tam do tych czarodziejskich ogrodów, gdzie słońca załamują swą moc na kryształkach lodu i rozkładają złotą białość promieni na siedem barw tajemniczego spectrum. Granicę oparł dopiero na groźnych a odległych rejonach u progu zórz polarnych, szeleszczących wichrowatym ogniem, gdzie słońce zwisa bez korony, niby tarcza okrągła a płomienna, gdzie gwiazdy przestają drżeć

strzelistymi akordami, lecz trwają martwe i nieruchome wśród mrozu pustki międzyplanetarnej.

Jednak Odwieczny pozwalając w swej nieskończonej dobroci uchylić śmiertelnym zasłony dzielącej ziemię od nieba, nakazał — by człowiek poznał jej prawa. Te zaś były twarde i nieubłagane.

Żywioł powietrza ukazał się ludziom w nieoczekiwanej, nieodgadniętej nawet najśmielszymi snami postaci. Powietrze jest żywiołem, więc elementem wrogim. Ogień, ziemia czy woda długo broniły się nim je wreszcie człowiek ujarzmił i opanował. Lecz ogień można było zalać wodą, morze ujarzmić siłą i inteligencją, ziemię zniewolić pracą i wytrwałością. Jednak zarówno ziemia, jak woda czy ogień posiadały wyraźny kształt i granice. Powietrze zaś jest nieuchwytne, pozornie niewyczuwalne dla pięciu zmysłów, lecz równocześnie równie śmiertelne jak ogień, równie mocne jak rozhukana woda, równie spoiste jak ziemia. Morze walcząc z człowiekiem zabija rozmaicie: rozbije o skały, zamorzy głodem, zagnębi pragnieniem, czasem od razu wchłonie w siebie i zatopi. Powietrze zna tylko jeden sposób zabijania: strąca z wysokości. Zdąża jednak do krwawego zwycięstwa tak podstępnie i taką ilością niewidocznych środków, że objąć rozumem wszystkich nie sposób.

Mędrcy i wtajemniczeni przypisują, krwawe ofiary jakimi opłaca ludzkość każde nad powietrzem zwycięstwo jej, własnej winie. Legenda mówi, że wśród piasków pustyni, w miejscu znanym jedynie członkom mistycznego Białego Bractwa, leży ukryty przyrząd, na którym założyciel Egiptu, mag i cudotwórca Hermes Trimegistos przybył z Atlantydy nad Nil.

Przyrząd ponoć jest prosty, nieskomplikowany i wcale nie posiada skrzydeł. Unosi się i jest kierowany jedynie wiarą, wiedzą i wolą tylko. Niewidzialne lecz nie ręką uczynione pancerze chronią człowieka od mrozu i uduszenia na bezpowietrznych wysokościach bowiem jest to przyrząd nie podlegający oporom materii.

Nasza cywilizacja inną, niż owa zatopiona falami Atlantyku, poszła drogą. Naszych machin nie buduje kapłan, lecz mechanik, inżynier-realista znający jedynie prawa materii. Dlatego jej prawom podlegają. Na skutek zaś niedoskonałości skażonego rozumu, przez pychę nieumiejętności, stają się zawsze zabawkami elementów.

Powietrze żyje i jest w wieczystym ruchu. Jeden silniejszy promień słońca jedna grubsza chmura, która je od słońca odetnie, sprowadza gwałtowne zmiany, zaburzenia i nieobliczalne ich następstwa. Nagłe porywy wiatrów, gwałtowne a niespodziewane wiry rwą skrzydła, burze strącają z drogi, zaburzenia magnetyczne wichrują busole i skazują na ślepe błądzenie wśród przestrzeni pozbawionych drogowskazów. Czasem już rozpoznane i sklasyfikowane prawa zjawisk doświadczonych, ujęte zdawało by się w ścisłe reguły, nagle na skutek całkiem nieoczekiwanego zjawiska znów wymykają się spod ostatecznej wydawało by się kontroli i człowiek staje bezradny...

Równocześnie ciało ludzkie, rzucone w obce mu wysokości, podlega chorobom i słabościom nieznanym na ziemi. Szybkości wytrącają obieg krwi z równowagi. Płuca zamierają, serce przestaje działać. Bóle przeszywają uszy, ciało zmienia się w ołów ważąc kilkanaście razy więcej niż na ziemi. Ogarniają zmęczonego pilota senności, którym ulega, by nie obudzić się więcej. Samolot pozbawiony kontroli szyje ku ziemi, niosąc bezwładne ciało. Potem płomień i dym uderzają w niebo. Gdy opadnie, ujrzysz tylko dymiącą łysinę gruntu, kilka popalonych kikutów drzew, dokoła zaś pokręcone kawałki sztab żelaznych, rozrzuconych wybuchem. Jednak z ciała, jeszcze przed chwilą żyjącego człowieka, nie znajdziesz śladu...

Powietrze nie zna dobroci ziemi, która przygarnia ranne i słabe stworzenie, ukryje w jaskini, czy pod korzeniem drzewa przed niebezpieczeństwem. Nie zna litości fali, która ściganą przez drapieżnika rybę, nagle przetoczy na szumowisku fali i ułoży bezpiecznie na złotym piasku zatoki.

Powietrze nie wybacza nigdy słabości, zaś za omyłkę skazuje na śmierć. Nie daje czasu na żal i poprawę — zabija. Przeźroczysta zagłada chwyta nagle, niespodziewanie, nawet nie zaszumi ostrzeżeniem, Po wyroku od razu kryształowe kopuły zamykają się nad skazańcem. Gdy zaś rozwieje się wir upadku, powietrze przepływa spokojnie i obojętnie nad nowym grobem, łagodne, dziewiczo przeźroczyste, straszne w swej bezcielesności.

Bezsilny wobec jego potęgi bywa rozum ludzki.

Tam gdzie wszechmoc Najwyższego rozpuszcza swe płomienne tabuny, człowiek powinien być małym i pokornym. Trzeba kroczyć drogą Hermesa Trimegistosa, nie drogą kruchej materii po gościńcu, na którym gwiazdy ciskane z wysokości, zapalają się i płoną jak szyszki rzucone na żar popiołu.

Tu należy poznać, że w obliczu tak przemożnych spraw Bożych, nie miejsce na ziemskie uczucia nienawiści, na brud chciwości czy fizyczną żądzę panowania.

„Zroście rosą niebiosa, a obłoki niech zleją deszczem Sprawiedliwego. Niebiosa rozpowiadają chwałę Bożą, a widnokrąg rozgłasza dzieła rąk Jego" — rzekł prorok Izajasz. Gdy wreszcie poznamy wszystkie a święte prawa powietrza, nie te opisane w książkach mądrości ziemskiej, lecz te które się czyta oczyma duszy, wtedy z góry spłynie na świat nie przekleństwo smutku, lecz błogosławieństwo pokoju. Nie na próżno patronką świata lotników jest Królowa Pokoju, która nosi też miano Królowei Korony Polskiej.

IRENA KRZYWICKA

WSPÓŁCZESNE ŻYCIE LITERACKIE W POLSCE

Na to, aby zrozumieć, jakie jest nasze życie powojenne, trzeba sobie dokładnie zdać sprawę, czym była dla nas wojna. Wojna, bomby, granaty, miny? To mniejsza, tak samo, jak w gruncie rzeczy mało ważną rzeczą była nędza, którą wielu z nas przechodziło. Ale czym była dla nas okupacja niemiecka? Jeżeli syty nie może zrozumieć głodnego, to jak może zrozumieć człowiek wolny niewolnika, zepchniętego na najniższy szczebel bytowania ludzkiego? Obywatel U.S.A. nigdy nie pojmie należycie, czym była okupacja hitlerowska, choćby miał najbujniejszą wyobraźnię, bo tego sobie wybrazić nie można. Stąd może płynie owo niedowierzanie w stosunku do wieści, które od nas płynęły, niedowierzanie, które nas tak bardzo dotkliwie bolało, zapewne stąd, że normalny człowiek w normalnych warunkach po prostu nie może w pewne rzeczy uwierzyć. Tymczasem faktem jest, że wszystko co słyszycie o okupacji hitlerowskiej, to jest małe, to jest zaledwo cząsteczka, ułamek naszych mąk, to zaledwie w przybliżeniu oddaje atmosferę, w którejśmy żyli przez pięć z górą lat.

I jakże mieli pisać ludzie, kiedy ciągle, w każdej minucie spodziewali się śmierci, a co gorsze od śmierci, nieludzkich mąk, straszliwego sponiewierania z rąk katów niemieckich. Każdy, co dzień, bez najmniejszego powodu mógł zginąć. To było niby życie żołnierza na froncie, ale żołnierz nie musi patrzeć na męczarnie swoich małych dzieci, nie boi się, że mu każą tańczyć do taktu skocznej muzyki, bijąc po głowie swego najlepszego przyjaciela, póki obaj nie padną martwi; żołnierz nie boi się, że będzie musiał patrzeć, jak gwałcą jego żonę, albo kopią matkę. Na te i tysiące innych mąk każdy z nas musiał być przygotowany co dnia.

I jak tu pisać w takich warunkach, kiedy słowo wydaje się czymś tak bladym i niepotrzebnym wobec rzeczywistości, kiedy serce zamiera ciągle ze strachu, męki i rozpaczy i to nie o siebie, ale o swoich najbliższych.

I nagle przyszedł dzień, kiedy zły sen się skończył. Jeden dzień dosłownie, i od razu znikła zmora strachu, kiedy się okazało, że się żyje, że można i trzeba żyć. Jeden dzień i wróg zniknął, jakby go nigdy nie było, zostawiając tylko wywrócone czołgi i trupy po drogach. Jeden dzień i — wolność. I znów, kto tego nie przeżył, ten sobie tego wyobrazić nie może.

Upłynęło nie wiele czasu, a życie umysłowe w Polsce buchnęło jak gejzer. Zaczęły powstawać pisma, organizować się uniwersytety. Niemcy robili wszystko, aby wytępić do cna polską inteligencję, zrobili spustoszenie straszliwe, ale jednak zostało nas dosyć, aby zacząć budować nowe życie intelektualne. Życie jest niezniszczalne. Drzewo ścięte u korzenia wypuszcza nowe pędy. Warszawa, doszczętnie zburzona i spalona, aż kipi życiem. Na miejsce wytraconych bestialsko uczonych, stają do pracy nowe zastępy. Na miejscu zmarłych pisarzy pojawiają się nowe talenty, albo w niespodziewany sposób rozrastają się dawne. Im mocniej była przygięta sprężyna, z tym większą siłą się odgina, im bardziej ścieśniona, skomprymowana była atmosfera, tym większą posiada prężność.

Trudności są jednak olbrzymie. Przede wszystkim te, że budować nową sztukę trzeba prawie z niczego. Okupacja niemiecka poczyniła spustoszenia olbrzymie. Znikły zniszczone albo zagrabione obrazy, zabytki historyczne, eksponaty muzealne. Książki, na ogół biorąc, stały się rzadkością. Z wyjątkiem zasobnego pod tym względem Krakowa, inne miasta polskie zostały ogołocone z książek, zwłaszcza warszawiacy wygonieni z miasta tak, jak stali, stracili wszystko. Tu i ówdzie na straganach, na wózkach, przypadkowi sprzedawcy handlują zniszczonymi, zdekompletowanymi dziełami, którym brakuje tomów i kartek. Ludzie, dla których książka była przedmiotem codziennego użytku, spoglądają łakomie na te stragany ze szczątkami tego, co było niegdyś bibliotekami. Ale pozostałe nieliczne książki są drogie. Miasta, niedawno przyłączone do Polski, które od stuleci znajdowały się pod uciskiem, zostały przez barbarzyńcę zupełnie pozbawione książek, jeżeli nie liczyć propagandowej literatury hitlerowskiej. W wielu miastach polskich człowiek by oddał pół życia za zadrukowaną kartkę. A trzeba jeszcze dodać, że przez sześć prawie lat okupacji nie ukazała się ani jedna nowa książka, bo nikt z polskich pisarzy nie chciał nic drukować w tym czasie, że biblioteki i czytelnie zostały „oczyszczone" z wszelkiego rodzaju książek niedozwolonych. Stąd w całej Polsce rozlega się wielki głos: „Czytać, czytać".

Ten głód drukowanego słowa zaspakajają częściowo ukazujące się w wielkiej ilości czasopisma. O nich to mówiłam, w początku tego artykułu, że buchnęły jak gejzer. Chyba nigdy w Polsce nie było takiej ilości tygodników, dwutygodników i miesięczników, a wciąż pojawiają się nowe. Istnieje też bardzo poważna ilość pism codziennych. Wszystko to powstało nagle, niemal z dnia na dzień, potrafiło zgrupować najlepsze pióra i trafić natychmiast do rąk czytelnika, mimo trudności komunikacyjnych, a co za tym idzie kolportażu. Jedna jest tylko bolączka, brak papieru. Gdyby papieru było więcej, wchłonęlibyśmy już nie rzekę drukowanego słowa, jak obecnie, ale cały ocean. Wszystko, co się wydrukuje, znika natychmiast, pożarte przez Molocha publiczności. Przed wojną nakład najpoczytniejszego pisma literackiego „Wiadomości literackie" z trudem dociągał do 10 tysięcy. Dziś bije się 20 i 30 tysięcy, a gdyby było więcej papieru — biłoby się dużo, dużo więcej. To samo jest z pismami codziennymi. Nie ma mowy o tym, żeby dostać gazetę z poprzedniego dnia. A przecież uruchomienie tylu pism wymagało olbrzymiego wysiłku: chociażby zmontowanie maszyn drukarskich, zdemolowanych lub wy-

wiezionych przez Niemców. Na pierwszym miejscu w tym względzie stoi ruchliwa spółdzielnia „Czytelnik", wydająca cały szereg pism codziennych w różnych miastach, oraz czasopism społeczno-literackich. Uruchomienie pierwszego linotypu w zburzonej Warszawie było prawdziwą uroczystością.

Stronnictwo Demokratyczne, ze znanym publicystą na czele, Józefem Wasowskim, wydaje w Warszawie pismo codzienne i poważny tygodnik „Nową Epokę".

W pismach tych pracują wszyscy prawie pisarze, którzy ocaleli z barbarzyńskiego zalewu. Świetny poeta, powieściopisarz, dramaturg, Jarosław Iwaszkiewicz redaguje, na wysokim poziomie postawiony dwutygodnik w Poznaniu p.t. „Życie literackie". W Łodzi pod redakcją naszej znakomitej powieściopisarki Z. Nałkowskiej, wychodzi czasopismo „Kuźnica", o zabarwieniu materialistycznym, marksistowskim. Na łamach jego znajduje się dużo miejsca dla literatury pięknej. W Krakowie wychodzi ruchliwe „Odrodzenie", tygodnik społeczno-literacki, który na łamach swoich dopuścił do głosu wiele nowych, obiecujących nazwisk. Wreszcie wychodzi w Łodzi wyborny tygodnik humorystyczny „Szpilki", dosłownie rozchwytywany przez publiczność. Polacy są ludźmi wybitnie obdarzonymi poczuciem humoru i dlatego „Szpilki", w których nierzadko znajdujemy śmiałą satyrę, są ich beniaminkiem.

Ostatnio ukazał się nowy miesięcznik „Twórczość", redagowany przez Leona Kruczkowskiego. Jest to najpoważniejsze dziś wydawnictwo literackie w Polsce.

Wspominam tutaj o pismach najważniejszych, największym cieszących się powodzeniem. Ale obok nich istnieje wiele innych, zwłaszcza przeznaczonych dla czytelników wiejskich. Chłopów, którzy stanowią tak olbrzymią przewagę liczebną, należy zaopatrzyć w słowo drukowane. Tu otwiera się dla pisarzy olbrzymie pole działalności.

Charakterystycznym zjawiskiem dla literatury polskiej jest i była przewaga poezji nad prozą. Polska zawsze była krajem poetów, z których paru zasługuje na miano geniuszy, podczas gdy w prozie nie wzniosła się ponad poziom bardzo dobry, ale nie sięgający wyżyn odkrywczych. Od czasów wielkiej istotnie u nas poezji romantycznej, w Polsce poezja kwitnie bujnie i obfituje w mnóstwo oryginalnych talentów. Tak jest i teraz. O ile w prozie można zanotować zaledwie kilka istotnie znaczących pozycji, o tyle w poezji mamy znaczną lość wybornych poetów, których co prawda znaczna część przebywa na emigracji, jak Słonimski, Tuwim, Broniewski, Baliński.

Są to poeci pierwszej klasy, których nazwiska stanowią punkt zwrotny w poezji polskiej.

W Polsce, w najcięższych warunkach pozostał znaczny zastęp poetów, z których wielu zginęło w samym rozkwicie twórczości. O tych pisarzach i poetach, którzy zginęli męczeńską śmiercią z rąk Niemców, należałoby napisać osobno, zasłużyli na to. Wielu jednak uszło z życiem, choć przeważnie pracowali w konspiracji i bili się w partyzantce. Surowe i tragiczne warunki wojenne wydobyły z ich poezji nowe akcenty, groźne, surowe tony bojowe. Bo choć wszyscy oni byli zasadniczymi przeciwnikami wojny, walka o tak świętą sprawę, jak zwalczenie hitleryzmu i uwolnienie swej umęczonej Ojczyzny, stała się dla nich wewnętrzną, moralną koniecznością. Miłość swego kraju, jak zawsze, dziś i w przeszłości stanowi w polskiej poezji wojennej i powojennej ton dominujący. Obok tego brzmi w poezji współczesnej krzyk zgrozy na widok upodlenia do jakiego może dojść człowiek torturujący i rozpaczy na widok człowieka torturowanego, ginących miast, niszczonej cywilizacji. Brzmi też w tych wierszach mocno i zdecydowanie ton rewolucyjny, nawoływanie do przebudowy świata, odruch wstrętu do ginącego świata. Poeci współcześni stoją w awangardzie społecznego ruchu. Ale nie byliby poetami, gdybyśmy

nie znaleźli w ich wierszach filozoficznego zamyślenia, szeptu miłości, tęsknoty, smutku i rozkochania się w przyrodzie obok stałych i niestrudzonych poszukiwań nowej formy. Z nazwisk na pierwszym miejscu należy wymienić Iwaszkiewicza, wybornego prozaika, przy tym i dramaturga. Prócz tego drukują piękne nierzadko wiersze Jastruń, Miłosz, Ważyk, Putrament, Nowicki, Przyboś, Pasternak, Herz i wielu innych, w tym sporo młodych. Gdyby proza kwitła u nas tak bujnie, jak poezja, zajęlibyśmy łatwo jedno z pierwszych miejsc w literaturach świata.

Nadmienić jeszcze trzeba, że we wszystkich większych miastach polskich teatry wznowiły swoją działalność i że cieszą się ogromnym powodzeniem u publiczności, bo w czasach okupacji nie chodziło się do teatru, na znak protestu wobec Niemców.

Bujne życie umysłowe, które teraz zakwitło w Polsce byłoby jeszcze bogatsze, gdyby nie spustoszenie dokonane przez Niemców wśród najwartościowszych ludzi. Zwłaszcza dotkliwy jest brak największego ze współczesnych pisarza Boya-Żeleńskiego, zamordowanego bestialsko. Jasność jego umysłu, olbrzymia wiedza, odwaga poruszania coraz to nowych zagadnień, nieporównane mistrzostwo stylu brakują nam ogromnie. Ta luka nieprędko, a może nigdy nie zostanie zapełniona. Mimo, że odszedł, pamięć o nim jest żywa i można śmiało powiedzieć, że jest to najpopularniejszy pisarz w tej chwili. Młodzi uważają go za swego mistrza, za jednego z największych pionierów myśli demokratycznej w Polsce i jednego z najwspanialszych artystów.

Jak powiedziałam, wszyscy prawie pisarze stanęli do pracy twórczej, ale ich najlepsza wola rozbija się narazie o trudności techniczne, o brak papieru. Jest to z pewnością trudność przemijająca, przykry spadek pookupacyjny. Można sobie wyobrazić, że kiedy tylko zacznie się drukować, nowe książki poleją się rzeką. Tymczasem największa spółdzielnia wydawnicza skupuje rękopisy i gdy tylko ukaże się papier zacznie drukować, drukować. „Czytelnik„ kupił już dzieła najwybitniejszych pisarzy: Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Gojawiczyńskiej, Dąbrowskiej i in., wiele tomów poezyj, wiele dzieł naukowych z „Pamiętnikami" i „Hordą pierwotną" największego socjologa polskiego L. Krzywickiego na czele. Obok „Czytelnika" zamierza rozwijać działalność wydawniczą spółdzielnia „Książka", oraz parę firm prywatnych. Tylko papier, papier...

A przecież tyle jeszcze trzeba wydać książek dawnych, zniszczonych przez lud Bandar-Logów, który nad nami panował. Człekokształtne stworzenia niszczyły systematycznie cały dorobek myśli polskiej. Kiedy się to wszystko wznowi! Ileż pracy będzie trzeba, aby wskrzesić wszystkich dawnych autorów, którymi chlubiła się literatura polska. A jak te możliwości gigantycznej pracy są zachęcające dla tych ludzi książki, którzy przeżyli wojnę.

Wielu naszych znakomitych pisarzy znalazło się podczas wojny poza granicami kraju. Dzięki temu ocaleli na szczęście, ale nie będąc w Ojczyźnie przez tyle krwawych lat, które należy liczyć podwójnie i potrójnie, utracili z nią łączność. Nie zdają sobie może sprawy, ile tu jest pracy i jak jest potrzebny każdy człowiek dobrej woli i talentu. Ci wszyscy, którym drogie są zasady demokratyczne i którzy w pracy twórczej dla kraju widzą największe swoje szczęście, powinni wrócić. Polska wchodzi w nowy etap istnienia, a jej siły żywotne, jej rozmach i zapał są ogromne. Będzie się w niej pisało i czytało więcej, niż kiedykolwiek. W najbliższym czasie przejdzie sabotowana przez poprzednie rządy uchwała biblioteczna, dzięki której powstanie olbrzymia sieć bibliotek w całym kraju. Polska stanie się, narówni z innymi państwami kulturalnymi, krajem wielkich nakładów. Świat cały ma na Polskę zwrócone oczy, jak nigdy dotąd. Polskie książki pójdą w świat. Tylko trzeba dużo, bardzo dużo pisać, aby dać świadectwo temu, na co nie ma przykładu w historii, a cośmy przeżyli; odrodzeniu,

które teraz przeżywamy, przeszłości, na którą częstokroć patrzyliśmy innymi oczami, przyszłości, której się spodziewamy i znajomość człowieka, który się nam ukazał w szczytowych swoich wzlotach i na dnie upadku.

Toteż pisarze polscy piszą gorączkowo, a czytelnik równie gorączkowo, zachłannie czyta. I co jest objawem pięknym i zdrowym, nie wychodzi u nas w tej chwili żadna szmira, żadna nędza, obliczona na łatwy gust publiczności.

Nie schlebia się upodobaniom tłumu, karmi go się utworami na przyzwoitym a często wysokim poziomie, niech sobie z tym radzi, jak może. I radzi sobie, skoro nie ma nic innego, ani sensacji, ani pornografii, czyta dobre, rozumne pisma i jest z nich kontent, nie czyta — pożera. Niech mi nikt nie mówi, że nie można wychować publiczności.

DR. STANISŁAW PIOTROWSKI

SPRAWA KONKORDATU

I.

Zanim rozważymy czy obowiązuje konkordat zawarty między Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską wskazanym będzie uprzytomnić sobie jego cechy charakterystyczne. Znamionuje konkordat Polski ze Stolicą Apostolską wyraźne uprzywilejowanie Kościoła w zestawieniu z konkordatami zawartymi przez Watykan z innymi państwami. Już w art. I Polska zapewniła Kościołowi swobodne wykonywanie jego władzy duchownej i jego jurysdykcji zgodnie z prawem Bożym i prawem kanonicznym. Ograniczenie wykonywania władzy duchownej i jurysdykcji tylko przez prawo Boże i kanoniczne jest równoznaczne z wolnością nieograniczoną, gdyż prawo Boże nie da się ująć w żadne normy prawne. W przeciwieństwie do tego sformułowania uprawnień Kościoła konkordat z Rzeszą ustala wolność Kościoła w granicach ustawodawstwa państwowego; konkordat z Prusami wymienia normy państwowe jako podstawę praw Kościoła, konkordat z Łotwą zapewnia Kościołowi wolne i publiczne wykonywanie kultu oraz osobowość prawną na podstawie prawa cywilnego; konkordat z Rumunią zapewnia Kościołowi swobodne i publiczne wykonywanie kultu, uznając osobowość instytucji kościelnych, prawnie ukonstytuowanych; konkordat z Bawarią przyznaje Kościołowi prawo wydawania w granicach jego właściwości przepisów dla członków Kościoła.

Nie zważając na granice zakreślone w art. 120 konstytucji marcowej, konkordat wprowadza przymus nauki religii we wszystkich szkołach publicznych z wyjątkiem wyższych: nie uzależnia od zgody rządu tworzenia nowych kongregacji i zakonów oraz beneficjów kościelnych; pozostawia Kościołowi zupełną swobodę organizowania i planu nauki w seminariach duchownych, przyznaje Stolicy Apostolskiej prawo mianowania biskupów, zastrzegając tylko Prezydentowi Rzeczypospolitej prawa veta. We wszystkich powyższych wypadkach konkordaty zawarte z innymi państwami zapewniają im czynny udział w rozwiązywaniu poruszonych w nich zagadnień.

Na osobne podkreślenie zasługuje pozostawianie Kościołowi dóbr martwej ręki w art. XXIV konkordatu, wbrew przeprowadzonej w całej niemal Europie zasadzie sekularyzacji dóbr kościelnych, która to zasada była w dawnej Polsce według Encyklopedii Kościelnej realizowana częściowo już w XIII wieku.

W pracy p.t. Stosunek Kościoła do Państwa w świetle konkordatów (Rocznik Prawniczy Wileński 1930) prof. ks. Bolesław Wilanowski wy-

powiada zdanie, iż „Konkordat polski obok litewskiego jest najbardziej dla kościoła korzystny. Przeciwstawić mu należy konkordat z Prusami najbardziej dla kościoła krępujący. Porównywując między sobą te państwa: Polska, Prusy, Bawaria, Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Rumunia, jakie ostatnio ze Stolicą Apostolską układy zawarły, widzimy, że konkordaty dla kościoła korzystniejsze zawarły państwa słabsze i mniejsze, wszystko jedno katolickie czy akatolickie, gdy mocarstwa silne zdołały dla siebie wytargować od kościoła ustępstwa o wiele większe, oając ze swej strony bardzo nawet mało".

II.

Mając na uwadze przedstawione wyżej znaczne uprzywilejowanie Stolicy Apostolskiej w konkordacie zawartym z Polską w porównaniu z konkordatami zawartymi z innymi państwami, przystępujemy do rozważania pytania, czy nieliczne zresztą przewidziane w postanowieniach konkordatu obowiązki Kościoła wobec Państwa Polskiego zostały zachowane?

Według art. IX konkordatu żadna część Rzplitej Polskiej nie będzie zależała od biskupa, którego siedziba znajdowałaby się poza granicami Państwa Polskiego. Stolica Apostolska nie przedsięweźmie żadnej zmiany w hierarchii lub w rozgraniczeniu prowincji i diecezji, określonym ściśle w tymże artykule, jak tylko w zgodzie z Rządem Polskim, z wyjątkiem drobnych sprostowań granic, wymaganych dla dobra dusz.

Uzupełnieniem tego postanowienia jest przepis art. XXVI ust. 1) konkordatu, iż granice prowincji kościelnych i diecezji będą odpowiadać granicom Państwa Polskiego.

Określona w powyższym artykule hierarchia katolicka obejmuje podział na: A. obrządek łaciński, B. obrządek grecko-rusiński, C. obrządek ormiański. Do każdego z tych trzech obrządków osobno należą wymienione ściśle diecezje, arcybiskupstwa względnie prowincje.

Wbrew powyższym wyraźnym postanowieniom konkordatu Stolica Apostolska:

a) mianowała dla arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego administratora apostolskiego w Poznaniu, Niemca, franciszkanina Breitingera z jurysdykcją na Niemców zamieszkałych na terenie diecezji gnieźnieńsko-poznańskiej. Hierarchia katolicka w Rzplitej Polskiej określona w art. IX konkordatu nie przewiduje w ogóle żadnych podziałów narodowościowych a tylko ze względu na obrządek: A. łaciński, B. grecko-rusiński, C. ormiański. Mianowanie administratora apostolskiego dla Niemców stanowiło zatem naruszenie art. IX konkordatu i szło po linii postępowania władz okupacyjnych, które rozporządzeniem namiestnika w Kraju Warty z 13/9. 1941 r. o stowarzyszeniach religijnych stworzyły rzymsko-katolicki kościół narodowości niemieckiej w kraju Warty jako osobę prawną.

Należy podkreślić, że ks. Breitinger podpisał skargę księży niemieckich do nuncjusza w Berlinie na rzekome prześladowanie księży niemieckich przez ludność polską we wrześniu 1939 roku, chociaż były to wiadomości wyssane z palca. Z 640 księży polskich na Pomorzu Niemcy rozstrzelali w obozach 450, ale ani jeden ksiądz niemiecki nie został nawet zraniony przez Polaków.

b) Za pośrednictwem nuncjusza apostolskiego w Berlinie powierzyła administrację diecezji chełmińskiej w Pelplinie biskupowi w Gdańsku, Carl Maria Splettowi. Niemiec, biskup Splett, zarządzeniem z kwietnia 1940 r., ogłoszonym w Amtliches Kirchenblatt für die Diözesen Danzig und Kulm Nr 3/40 wyjaśnił „dla uniknięcia niejasności", że językiem urzędowym jest język niemiecki, że kazanie, publiczne modlitwy i śpiewy w języku polskim są zakazane, że w niedzielę i święta należy wygłaszać przynajmniej jedno kazanie niemieckie i że nauki o sakramentach wolno udzielać również tylko po niemiecku. Dnia 17.V.1940 r. biskup Splett nakazał

natychmiastowe usunięcie wszelkich napisów polskich z kościołów i cmentarzy (nagrobków), zakazał przechowywania chorągwi stowarzyszeń polskich po domach i dnia 15.X.1940 r. polecił proboszczom przekonać się osobiście o faktycznym usunięciu napisów polskich. Dnia 25.V.1940 r. biskup Splett zakazał też na żądanie Gestapo, spowiedzi w języku polskim zarówno księdzu jak i penitentowi z upoważnieniem do udzielania generalnego rozgrzeszania, jeżeli penitent nie znałby języka niemieckiego.

Biskup Splett usunął na Pomorzu polskich dziekanów i mianował na ich miejsce niemieckich komisarzy religijnych. Takim komiszarzem był też ksiądz Preuss w Tczewie (Tczew) który podpisywał swoje zarządzenia „Heil Hitler!", nakazał odebranie parafianom polskich książek do nabożeństwa i oskarżał księży polskich w Gestapo.

Po zajęciu Gdańska przez wojska sowieckie i polskie biskup Splett odmawiał księżom polskim zezwolenia kanonicznego na wykonywanie ich misji duchownej w Gdańsku ale mianował ks. Preussa proboszczem na terenie miasta Gdańska.

Powierzenie diecezji chełmińskiej biskupowi w Gdańsku, Niemcowi i hakatyście stanowiło pogwałcenie art. IX konkordatu ze szkodą dla Narodu i Państwa Polskiego.

Według art. IX konkordatu hierarchia katolicka nie rozciągała się na teren Wolnego Miasta Gdańska i diecezja chełmińska została poddana biskupowi, którego siedziba znajdowała się poza granicami Państwa Polskiego.

Ponadto w myśl art. XI konkordatu papież zgodził się zwracać do Prezydenta Rzplitej przed mianowaniem arcybiskupów i biskupów diecezjalnych koadiutorów „cum iure succesionis" oraz biskupa polowego, aby upewnić się, że Prezydent nie ma do podniesienia przeciw temu wyborowi względów natury politycznej. W ścisłym związku z treścią art. XI przewiduje art. XII konkordatu złożenie przez powyższych ordynariuszów przed objęciem swych czynności na ręce Prezydenta Rzplitej przysięgi wierności Rzplitej Polskiej, dbanie o dobro i interes Państwa Polskiego i uchylenie grożących mu wszelkich niebezpieczeństw.

Wprawdzie w Poznaniu i w Pelpinie mianowano adminstratora apostolskiego, który nie jest wymieniony wyraźnie w art. XI konkordatu. Nie jest to jednak istotne, ponieważ według prawa kanonicznego administrator apostolski ma te same uprawnienia, jakie ma biskup (can. 315 § 1 ks. Grabowski, Prawo Kanoniczne, str. 86) i jest administracyjnym zwierzchnikiem diecezji.

W momencie zawierania konkordatu nie przewidywano w ogóle takiej sytuacji w Polsce, iż Stolica Apostolska nie mogłaby mianować ordynariusza i dlatego pominięto art. XI administratora apostolskiego, który według przepisów kodeksu kanonicznego ma te same uprawnienia, które ma biskup. Jednakże przewidziane w art. XI zastrzeżenie Prezydenta Rzplitej natury politycznej przeciw kandydatom na rządców diecezji w związku z przepisaną dla nich w art. XII przysięgą wierności Rzplitej Polskiej, pozwalają stwierdzić, iż mianowanie w Poznaniu rządcy diecezji Niemca, z natury rzeczy sprzeczne z interesami Narodu i Państwa Polskiego, podobnie, jak i mianowanie Niemca administratorem diecezji chełmińskiej stanowiło naruszenie również i art. XI i XII konkordatu, niezależnie od pogwałcenia w obu wypadkach art. IX konkordatu, o czym była już wyżej mowa.

Konkordat jako odrębny, specjalny rodzaj umowy międzynarodowej wymaga ze względu na swój specjalny charakter szczególnej lojalności i dobrej wiary przy wykonywaniu płynących z niego uprawnień i obowiązków.

„Konkordat wiąże zatem prawnie" — mówi prof. Halban (Encyklopedia prawa prywatnego, str. 519) — „obie strony, nie może być jednostronnie interpretowany, chociażby o tym, zawierając go, wyraźnie nie wspomniano. Żadna ze

stron nie może wprowadzić samodzielnie zmian, w chwili zawierania konkordatu, nieprzewidzianych, które by mogły wyrządzić lub grozić poważną szkodą drugiemu kontrahentowi".

W związku z powyższym należy podkreślić, iż pogwałcenie przez Stolicę Apostolską konkordatu nastąpiło w momencie najwyższego zagrożenia nie tylko dla Państwa Polskiego, lecz i dla samego Narodu Polskiego, sankcjonując chwilową utratę przez Naród Polski niepodległości na rzecz gotującego mu ostateczną zagładę napastnika. W tych warunkach, gdy postępowanie Stolicy Apostolskiej jako kontrahenta było równoznaczne z przekreśleniem bytu niepodległego Narodu Polskiego, postępowanie Stolicy Apostolskiej musi być uważane za przekreślenie postanowień konkordatu w ogóle.

Wymienione zarządzenia Stolicy Apostolskiej idące po linii interesów niemieckich nabierają specjalnego oświetlenia na tle postanowień konkordatu Stolicy Apostolskiej z Prusami, w którym położone w Prusach biskupstwo warmińskie poddano arcybiskupstwu we Wrocławiu, ale nie przyłączono do niego, pozostałych po stronie niemieckiej po traktacie wersalskim, skrawków biskupstwa w Poznaniu i w Pelpinie, tylko stworzono z nich osobną przelaturę nullius w Pile, jakby dla podkreślenia rewizjonistycznych dążeń niemieckich. (Ks. prof. Wilanowski, stosunek Kościoła do Państwa w świetle ostatnich konkordatów, Rocznik Prawniczy Wileński, 1930).

Nie tłumaczy bynajmniej Stolicy Apostolskiej okoliczność, iż nie mogła w danym momencie porozumieć się z Rządem Polskim, gdyż mogła się zwrócić do jedynego wówczas istniejącego rządu emigracyjnego, który zresztą założył formalny protest w Watykanie przeciw decyzjom Stolicy Apostolskiej, prócz tego decyzje Stolicy Apostolskiej wyraźnie przekreślające rację stanu Państwa Polskiego byłyby spotkały się ze sprzeciwem rządu emigracyjnego. Brak zaś możliwości porozumienia się nie upoważnia do samowolnej szkodliwej dla drugiej strony interpretacji układu i naruszenia jego postanowień.

III.

Niezależnie od powyższej ścisłej analizy aktów Stolicy Apostolskiej w świetle postanowień konkordatu nie można też pominąć zaszłej zmiany stosunków faktycznych i politycznych w Polsce. Określona ściśle w art. IX konkordatu hierarchia katolicka w Polsce w znacznej części przestała istnieć i musiałaby być określoną na nowo, gdyż inaczej nie można byłoby w ogóle wykonać postanowień konkordatu w znacznej części. Konkordat w treści dotychczasowej stracił przeto moc obowiązującą. Odpowiada to starodawnej zasadzie „Clausula rebus sic stantibus" czyli iż umowa wiąże pod warunkiem, że stosunki nie ulegną zmianie, uznanej i rozwiniętej w prawie kanonicznym (Przybyłowski, Clausula rebus sic stantibus w rozwoju historycznym).

Stwierdzając, iż przy tłumaczeniu i rozumieniu konkordatu obowiązuje klauzula rebus sic stantibus prof. Halban powiada, iż celem konkordatu jest zgodne ustalenie spraw w danej chwili spornych lub wątpliwych między Kościołem a Państwem. Zmiany polityczne w danym państwie wymagają ponownego ułożenia wzajemnych stosunków. Prof. Halban przytacza dla przykładu upadek monarchii w Niemczech jako uzasadnioną podstawę do zajęcia stanowiska, iż przepisy konkordatów krajów związkowych przestały być aktualne wobec zmienionej sytuacji i obowiązującej klauzuli rebus sic stantibus. Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech w 1933 r. Stolica Apostolska zawarła nowy konkordat z Rzeszą niemiecką.

Dla przykładu można przypomnieć, iż Austria, będąca państwem katolickim, notyfikowała Stolicy Apolstolskiej, iż przyjęcie przez sobór watykański w r. 1870 zasady nieomylności papieża uważa za taką

zmianę w osobie kontrahenta, która powoduje unieważnienie konkordatu zawartego w r. 1855.

Z powyższego punktu widzenia należy podkreślić, iż tą właśnie rozwiniętą zresztą przez kanonistów zasadą „rebus sic stantibus", kierowała się Stolica Apostolska, podejmując decyzje przekreślające konkordat zawarty w 1925 r. z Polską, w uznaniu, iż w zmienionych warunkach politycznych przestał obowiązywać. Konsekwentnie więc musi się z tego punktu widzenia przyjąć, iż konkordat nie wiąże, skoro przestał obowiązywać z chwilą okupacji ziem Polskich przez wojska niemieckie.

Stwierdzenie, iż konkordat zawarty między Rzeczypospolitą Polską i Stolicą Apostolską w 1925 roku przestał obowiązywać z powodu jego zerwania przez Stolicę Apostolską i z powodu zmienionych warunków politycznych, prowadzi ze względu na konieczność tego ustalenia dla bieżących zagadnień w różnych dziedzinach administracji państwowej do wniosku, iż Rząd Polski winien złożyć w tym duchu odpowiednie oświadczenie wiążące dla władz i urzędów państwowych.

„Jest bowiem ogólnie przyjętą w teorii i praktyce normą prawa narodów, ustaloną co prawda jedynie dla umów między dwoma tylko podmiotami prawa narodów — mówi prof. Ehrlich w ‚Prawie Narodów' (wydanie drugie str. 372) — że strona umowy prawa narodów może uznać umowę tę za zgasłą w drodze wyraźnego oświadczenia (w braku którego umowa dalej obowiązuje), jeżeli kontrahent umowy nie dopełnia. Jednakże z zasady tej może korzystać:

1) tylko państwo, na którego niekorzyść nastąpiło złamanie umowy a nie państwo, które samo pierwsze umowę złamało a i ono

2) tylko, jeżeli złamanie umowy przez drugą stronę nastąpiło w punkcie tak ważnym, że niedotrzymanie go przez kontrahenta niszczy lub zupełnie osłabia znaczenie umowy".

TADEUSZ RÓZYC

ROK 1960

Literatura ekonomiczna, jaka ukazała się w języku angielskim podczas wojny, jest bardzo bogata. Charakteryzuje ją troska o układ stosunków powojennych, o dobrobyt i przyszłość gospodarczą nowego świata. Stąd pochodzi wyraźna przewaga tematyczna ekonomii stosowanej nad teoretyczną, spekulacji dotyczących przyszłości ponad rozważaniami nad przeszłością.

Z tej kategorii książek na pierwszym miejscu wymienić należy pracę p.t. „The Economics of 1960" wydaną w Londynie w roku 1942 i liczącą 118 stronic. Autorem jej jest Colin Clark, przed wojną wykładający statystykę w Uniwersytecie w Cambridge, podczas wojny osiadły w Australii i pracujący tam nie tylko na niwie teoretycznej, lecz również —a może nade wszystko — w życiu praktycznym. „Specjalnością" Colin Clarka jest zagadnienie dochodu narodowego, które dominuje zresztą i w wielu opracowaniach innych indywidualnych oraz zbiorowych autorów, zajmujących się badaniami nad przyszłością gospodarczą świata (n.p. w pracach prowadzonych przez Royal Institute of International Affaires, czyli t.zw. „Chatham House" w Londynie).

Colin Clark opiera swą pracę na dwóch filarach. Na analizie statystycznej liczb różnych krajów, sprowadzonych wszakże do wielkości porównywalnych między sobą — co wobec braku jednolitości podstaw danych statystycznych w badanych krajach, było zadaniem niełatwym. Drugim filarem są przewidywania co do zmian dochodu narodowego w czasie i w przestrzeni.

Celem, jaki postawił sobie autor,

jest naszkicowanie takiej prawdopodobnej równowagi gospodarczej świata, jakiej należy się spodziewać w roku 1960, jeżeli wydarzenia gospodarcze (i polityczne — dodać należy) rozwiną się zgodnie z założeniami Colin Clarka. Książka nie jest przeto czymś w rodzaju ekonomicznego Nostradamusa, lub gospodarczej przepowiedni Wernyhory, lecz wynikiem rozwiązania funkcji i równań o ściśle określonych współczynnikach.

Założeniami gospodarczymi autora są: istnienie wolnej wymiany międzynarodowej, unifikacji systemów pieniężnych oraz międzynarodowego podziału pracy. Założeniem politycznym jest eliminacja wpływu wypadków politycznych i społecznych na rodzaj i kierunek długofalowych przemian i zjawisk gospodarczych.

Okres czasu od roku 1945 do roku 1960 będzie się cechował — zdaniem Colin Clarka — głodem kapitałowym, w wyniku wzrostu inwestycji zarówno międzynarodowych jak i krajowych w poszczególnych państwach. Sytuacja ta doprowadzić musi do pełnego wykorzystania wszystkich dostępnych środków produkcji i do zlikwidowania bezrobocia, czyli do pełnego zatrudnienia. Pod tym ostatnim pojęciem autor rozumie eliminację bezrobocia *strukturalnego*, nie zaś *koniunkturalnego*, które musi być zwalczane przy pomocy środków krótkofalowych. Dalszą cechą tego okresu ma być wielki wzrost międzynarodowych obrotów kapitałowych i towarowych, wynikający ze zwiększonej produkcji krajów, dźwigających się na wyższy poziom gospodarczy.

Środkiem, prowadzącym do zamierzonego celu, jest przesunięcie znacznej części ludności, tkwiącej obecnie w rolnictwie (produkcyjnie i nieprodukcyjnie) do zawodów nie rolniczych. Colin Clark oblicza, że zmiany w strukturze zawodowej ludności, dokonane do roku 1960, wyniosą zmniejszenie o 35% zatrudnionych w rolnictwie. Konsekwencją tego stanu rzeczy może być wzrost cen artykułów rolnych, przewidywany przez autora w wysokości 90% w stosunku do cen z lat 1925/34; równocześnie zwyżka produkcji płodów rolnych wynieść miałaby 56% w stosunku do danych z roku 1930. Na zacytowanie zasługuje wreszcie jeszcze jedna liczba wynikowa, mianowicie zwiększenie zaludnienia kuli ziemskiej, obliczone na 38%.

Colin Clark nie ogranicza się jednak do rozważań i obliczeń generalnych, obejmujących przyszłe stosunki świata pojętego jako całość, lecz zajmuje się też analizą stosunków w poszczególnych krajach. Wiele miejsca poświęca też Polsce, widząc w niej kraj, gdzie przemiany w strukturze zawodowej ludności będą bardzo głębokie i doniosłe. Liczba ludności w Polsce w roku 1960 wynieść ma 39,3 milionów z czego czynnych zawodowo (pracujących zarobkowo) będzie 18,5 milionów. Podział między poszczególne zajęcia autor widzi w stosunku: 18,2% w rolnictwie, 36,3% w przemyśle, 45,5% w innych zawodach. Przed wojną stosunek ten wyrażał się cyframi, 61,6 : 18 : 20,4, a obliczenia różnych polskich autorów, przeprowadzone i przedyskutowane w Londynie podczas wojny, prowadziły do wniosku, że liczbami docelowymi dla Polski są: 35-40% zatrudnionych w rolnictwie, 30-35% zatrudnionych w przemyśle, 30% zatrudnionych w innych zawodach.

Autor przewiduje emigrację z Polski, wynoszącą w okresie 1943-1960 po 160.000 osób rocznie, przy czym głównymi krajami, przyjmującymi emigrację europejską, miałyby być kontynenty: amerykański i australijski, oraz 4 kraje kontynentu europejskiego, mianowicie: Francja, Belgia, Szwecja i Szwajcaria. Na uwagę zasługuje przypuszczenie Colin Clarka, iż największa emigracja w tym czasie i do tych krajów odbywać się będzie ze Związku Socjalistycznych Sowieckich Republik.

Jeżeli chodzi o wzrost zainwestowanego kapitału to autor przewiduje, że w polskich warunkach i przy realizacji zamierzonych celów,

niezbędne będzie zwiększenie czterokrotne w stosunku do okresu przedwojennego. To zapotrzebowanie kapitałowe sprawi, że Polska stanie się jednym z głównych importerów kapitału, przy równoczesnym jednak, i to znacznym, wzroście oszczędności, który autor oblicza na trzykrotność w porównaniu ze stanem przedwojennym. Wzrośnie wreszcie dochód narodowy, obliczany zarówno w liczbach bezwzględnych, jak na głowę ludności.

Metoda, jaką posługuje się autor, oparta jest na obliczeniach dochodu narodowego w poszczególnych krajach. Ten sposób podejścia do zjawisk gospodarczych zasługuje na baczną uwagę, jest bowiem odmienny od stosowanych dotychczas — powiedzmy, przed wojną — kryteriów. Sprawa dochodu narodowego i sposobów jego obliczania stanowi temat poprzedniej, lecz również podczas wojny ogłoszonej książki tego samego pisarza — ekonomisty. Jest to mianowicie obszerne, ponad 500 stronic druku obejmujące, studium Colin Clarka ogłoszone w roku 1940 w Londynie p.t. „The Conditions of Economic Progress".

Wobec niejednolitej siły nabywczej różnych walut, a konieczności wzajemnej porównywalności dochodu narodowego w różnych krajach, autor ucieka się do teoretycznej jednostki, nazywanej jednostką międzynarodową (International Unit —I.U.). Jest to suma bóbr i usług, które można było nabyć w Stanach Zjednoczonych w latach 1925/34 za jednego dolara.

W tych jednostkach Colin Clark oblicza dochód narodowy, wprowadzając do swych kalkulacji dalsze jeszcze poprawki. Uwzględnia więc np. niejednakową w różnych krajach długość tygodnia pracy i sprowadza wszystkie dane do wspólnego mianownika 48-godzinnego tygodnia roboczego. Jak wiadomo, statystyki różnych krajów w niejednolity sposób ujmują zatrudnienie kobiet w rolnictwie; okoliczność ta prowadzi do nieporównywalności produkcji rolnej, obliczanej na głowę ludności pracującej. I tutaj Colin Clark ujednostajnia wymiar wielkości, uwzględniając wyłącznie tylko mężczyzn pracujących w rolnictwie. W konsekwencji — kraje, gdzie ilość kobiet zatrudnionych w rolnictwie jest stosunkowo znaczna, jak np. Polska, znalazły się w odpowiednich zestawieniach na wyższych miejscach, niż to wynika z rzeczywistego układu stosunków.

Konkluzją, do której dochodzą przebiegi myślowe wyłożone w „The Conditions of Economic Progress", jest ustalenie, iż podniesienie poziomu gospodarczego może się dokonywać przy pomocy dwóch metod. Przez podnoszenie produktywności już istniejących dziedzin gospodarstwa, po pierwsze, i po drugie — przez przenoszenie ludności z jednej, mniej produktywnej lub przeludnionej gałęzi gospodarczej — do innej, więcej produktywnej. W warunkach polskich np. — z rolnictwa do przemysłu i innych zajęć nierolniczych. Jest to ustalenie o wielkiej doniosłości, gdyż na nim buduje autor tok swego rozumowania w przewidywaniach na przyszłość, omówionych w „The Economics of 1960".

Jak już wspomniane, dane dotyczące dochodu narodowego stanowią punkt wyjścia do całej konstrukcji myślowej autora. Zarówno z tej przyczyny, jak z uwagi na wielkie znaczenie praktyczne odpowiednich liczb, zasługują one na przytoczenie. Przypomnieć bowiem w tym miejscu należy, że np. udział poszczególnych krajów w finansowaniu merytorycznej działalności U.N.R.R.A. oparty jest właśnie na dochodzie narodowym tych krajów.

Zgodnie z obliczeniami autora, dochód narodowy na głowę ludności obliczony jako przeciętna za lata 1935/38 wynosił:

w Polsce	117 I.U.
w Z.S.S.R.	108 I.U.
w krajach bałkańskich	102 I.U.

Najwyższy dochód narodowy w tym samym czasie był notowany:

w Nowej Zelandii ..	710 I.U.
w Wielkiej Brytanii	584 I.U.
w U.S.A.	545 I.U.

W ważniejszych krajach kontynentu europejskiego odpowiednie liczby wynosiły:

w Szwajcarii ..	455 I.U.
we Francji ..	358 I.U.
w Niemczech ..	343 I.U.

Dla porównania wreszcie wskazać trzeba, że dochód narodowy Czechosłowacji obliczony został na 161 I.U.

Po przeprowadzeniu skomplikowanych obliczeń matematycznych, Colin Clark dochodzi do wniosku, że w roku 1960 dochód narodowy tych samych krajów, obliczony na głowę ludności jaka w tym czasie zamieszkiwać będzie te państwa w niezmienionych granicach terytorialnych, wyniesie:

w Polsce	369 I.U.
w Z.S.S.R.	336 I.U.
w krajach bałkańskich	187 I.U.
w Nowej Zelandii	721 I.U.
w Wielkiej Brytanii	599 I.U.
w U.S.A.	879 I.U.
w Szwajcarii ..	466 I.U.
we Francji ..	429 I.U.
w Niemczech ..	510 I.U.
w Czechosłowacji ..	431 I.U.

Zestawienie powyższych kolumn cyfrowych prowadzi do interesujacych obserwacji. Wynika bowiem z niego, że proporcjonalnie najwyższy wzrost dochodu narodowego autor przewiduje w Polsce, najniższy zaś — w Nowej Zelandii, kraju o największym przed wojną na świecie dochodzie narodowym; miejsce jego miałyby zająć Stany Zjednoczone.

Jak już wspomniano na początku, Colin Clark eliminuje ze swoich rozważań wpływ zdarzeń politycznych i społecznych na przebieg procesów gospodarczych. Z tym przeto zastrzeżeniem należy się odnosić do liczb wynikowych.

Niemniej koncepcja i metoda całej pracy są tak ciekawe i oryginalne, że zdobyła ona nie przemijającą, lecz trwałą pozycję w literaturze ekonomicznej.

A że napisana jest ponadto w sposób żywy i barwny (zaczyna się cytatą z Chestertona „The Napoleon of Nottin Hill"): przeto stanowi lekturę łatwą i interesującą.

KOMUNIKAT REPATRIACYJNY No. 1

Konsulat Generalny R.P. w Londynie (6, Devonshire Street, W.1) zawiadamia zgłoszonych do repatriacji, że wobec zakontraktowania dla celów repatriacyjnych szwedzkiego statku pasażerskiego „Ragne" zwiększyły się bardzo wydatnie możliwości szybkiego powrotu do Kraju. Statek ten, jak można się spodziewać, odejdzie z Londynu w końcu listopada.

W związku z powyższym Konsulat Gen. R.P. zwraca uwagę na konieczność wcześniejszego załatwienia formalności wyjazdowych (t.j. paszportowe, bezpłatne szczepienia ochronne, kupony odzieżowe (50 sztuk), bilety kolejowe, t.zw. export licence (zwolnienie od cła) dla zabierających z sobą poza przedmiotami osobistego użytku jakieś towary, narzędzia, maszyny i tp.), które załatwia Wydział Repatriacyjny.

Czynności te wymagają około 2 tygodni czasu na załatwienie, wskazane jest zatem dokonać ich teraz, aby nie narażać się później na zwłokę w wyjeździe. Wszelkich informacyj i pomocy w załatwianiu tych czynności udzielają Wydział Repatriacyjny Konsulatu Gen. (6, Devonshire Street, W.1) i Komitety Repatriacyjne organizacji społecznych.

W celu usprawnienia kontaktu i uniknięcia niepotrzebnych korespondencji Konsulat Generalny przystępuje do ogłaszania komunikatów informacyjnych o repatriacji, które ogłaszane będą w prasie polskiej, a także i w polskich audycjach B.B.C. zależnie od potrzeby.

SPIS RZECZY

3/- Published by „Nowa Polska", 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London, factory. — Tel.: MUSeum 1409. 3/-